… SIELCA.

POWIEŚĆ DLA LUDU,

NA PODANIU I DZIEJACH

OSNUŁ

DROGOMIR ZAN.

> O wieści gminna, ty arko przymierza
> Między dawnemi i młodszemi laty!..
> O pieśui gminna, ty stoisz na straży
> Narodowego pamiątek kościoła!...
> Płomień rozgryzie malowane dzieje,
> Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
> Pieśń ujdzie calo, tłum ludzi obiega.
> A. M.

POZNAŃ.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI LUDWIKA MERZBACHA.
1868.

Spis Rozdziałów.

Rozdział I.

Oporowo.

„A cała wioska — jako ogród długi
W sadach kwitnących niskie strzechy kryje,
Z których dym kręty do nieba się wije.“

Pięknež to te nasze wielkopolskie sioła — piękne i urocze te wioski nasze! Wśród bujnych łanów, wśród łąk zielonych, w cieniu lasów, lub nad wodami rzeczułek naszych rozsiadły się ciche i skromne, ale bogate w pokój i szczęście gdzieindziéj nie znane!

Pięknež to te nasze wielkopolskie sioła i któż ich nie uznał piękności, gdy je z innemi porównał, lub gdy mu się z miasta do nich dostać, ich powietrza zaczerpnąć, ich życiem pożyć udało?

Piękną téż i uroczą była wioska nasza, którą Oporowem zwano, a o któréj tutaj wiele mówić będziemy. Na około niej czerniły się lasy, a po-

między nimi szeroko i daleko jaśniały z jednéj strony złote smugi łanów, a z drugiéj zieleniły się łąki posiane kwiatkami. Pośrodkiem nich krętemi wodami toczyła się Noteć, uzyźniająca corocznemi wylewami tłuste łęgi nadbrzeżne. Tuż przy niéj stała wioska nasza.

Wiódł do niéj szeroki bity gościniec, po którym zbliżając się od Łabiszyna przejeżdżałeś obok sitowiem zarosłego jeziórka, siedliska ryb niezliczonego mnóstwa i stad ptastwa wodnego. Chaty wszystkie w dwa rzędy po obu stronach drogi zbudowane, na pierwsze wejrzenie dawały poznać, że tu mieszkali gospodarze zamożni i pracowici. Każda z nich na zewnątrz chędogo wyglądała, a przez czyste szyby okien widać było białe ściany w ich wnętrzu. Zabudowanie otaczały wysokie topole i piękne sady, które i cień i owoc dawały, a w każdym prawie z tych sadów założona była pasieka, co to i wosk Panu Bogu na chwałę i miód dla ludzi na pokrzepienie przynosi.

Był to piękny letni wieczór, od którego się nasza powieść zaczyna. Słońce przed chwilą już zaszło, z różnych stron wracało bydło, a z pola wracająca młodzież wesołe śpiewała piosenki. Gwar po całéj wsi głośny od chwili do chwili coraz bardziej przycichał, aż wreszcie było tylko słychać odzywanie się żab z jeziorka, które swym siostrzyczkom w Noteci nawzajem wtóro-

wały. Powietrze ochłodzone po zajściu słońca orzeźwiało spracowanych kmiotków, którzy wyszli przed chaty by użyć chłodu i zmówić wieczorne pacierze.

Pod przyzbą pierwszéj zaraz chaty siedziało dwóch gospodarzy. Obaj byli jeszcze niestarzy i czerstwi.

Byli to dwaj najszczersi przyjaciele z całéj wsi: Maciéj Sikora i Walenty Siermięga. Obydwom dobrze się wiodło i wszyscy mieli ich za najzamożniejszych gospodarzy, ale téż wszyscy znali ich pracowitość i poczciwość. Razem wzrośli, razem się chowali, a nikt ich we waśni i kłótni nigdy nie widział; jeden dzielił zawsze sercem całem szczęście drugiego, a w smutku i strapieniu cieszył i wspomagał.

Dzisiaj przyszło im dzielić się smutkiem i kłopotami, — dla tego siedli przed chatą Siermięgi zatopieni w żwawéj rozmowie, która widocznie nie wesołą była.

— Tak — tak, mój Macieju, prawił Siermięga, ciężko wzdychając, trzeba się będzie pożegnać z chatą, w któréj moi ojcowie umierali i w któréj jam się urodził. Może jeszcze przyjdzie człekowi na stare lata, wyciągać gdzie rękę pomiędzy obcymi.

Cóż téż ty gadasz, mój Walku, odparł Maciéj, potrząsając z niechęcią głową, a toćby chyba

Pana Boga nie było w niebie, żeby ci taką niesprawiedliwość wyrządzić mieli.

Toć téż tylko jeszcze w Tym Ojcu Niebieskim mam całą nadzieję odrzekł Walenty, ale mnie się tak wszystko zdaje, że się ta sprawa źle dla mnie skończy.

I zwiesili obaj głowy, bo w smutku człowiek czuje rękę Boga i mimo woli korzy się przed Nim ku ziemi. A był téż to smutek nie lada, co tak złamał obydwóch przyjaciół, że na żadną radę zdobyć się nie mogli, a spotkał ich z powodu następujących przyczyn.

Po pierwszym bowiem rozbiorze Polski, dostało się Oporowo pod panowanie Prus. Siermięga nie płacił nowo nałożonych podatków, powikłał się w jakieś sprawy i procesa urzędowe, z których nic zgoła nie rozumiał, i nim się spodział, chciano mu zabrać cały dobytek na popłacenie zaległych podatków, kosztów i długów. Dla tego też to owego wieczora, rozmawiał tak smutnie, pod przyzbą swéj chaty, z Maciejem.

Radzili długo coby począć, aż wreszcie stanęło na tém, aby Walenty szedł nazajutrz do Bydgoszczy i tam poszukał jakiéj rady, od piśmiennych ludzi.

Nazajutrz chodził Siermięga cały dzień po Bydgoszczy, ale nigdzie nikt mu poradzić nie chciał, czy nie umiał. Najgorszém było przytém

to, że przy sądzie z trudna kto mógł go rozumieć.

Znużony całodziennem chodzeniem i dopytywaniem, wstąpił wreszcie „pod złotą sarnę“ aby odpocząć i puścić się w drogę do domu.

W gościńcu, na którym wisiało godło z złocistym napisem: „Oberza pod złotą sarną“ siedziało za stołem, nad szklennicami piwa, dwóch ludzi. Jeden z nich miał na sobie mundur, dosyć znoszony i wyplamiony, a z miny i ubioru wyglądał na woźnego od sądu. Drugi ubrany był dawnym zwyczajem niemieckim, kuso i opięto. Krótki i obcisły sukienny kaftan sięgał mu zaledwie do bioder, a z pod krótkich spodni, które mu tylko do kolan sięgały, dobywały się pończochy z niebieskiéj bawełny, przywiązane do spodni tasiemką. Na nogach klapały mu drewniaki, w zębach trzymał małą fajkę, z któréj puszczał dym, zapełniający całą izbę niemiłym zapachem. Opowiadał właśnie coś mundurowemu, który go słuchał z zajęciem, gdy w tém drzwi się otworzyły, a do izby wszedł znany nam już Siermięga.

Oczy dwóch Niemców zwróciły się na niego, tém ciekawiéj, że Walenty wyglądał w téj chwili tak rozpaczliwie i taką miał smutną minę, że każdego musiał sobą zająć. Nie zważając jednakże na nikogo, siadł sobie tuż przy drzwiach za stołem i zażądał szklanki miodu.

Nasze dwa Niemcy, zapomniawszy o piwie, wlepiły wzrok w twarz Walentego. Po niedługim téż czasie, snać nie mogąc ciekawości powstrzymać, zbliżył się mundurowy do Siermięgi i odezwał się łamaną polszczyzną:

— Czegoście to tacy smutni mój przyjacielu?

— Ta! jakże nie mam być smutny, kiedy mnie ciężka bieda gniecie, odpowiedział Siermięga.

— A cóż to takiego? może będę wam mógł dać jaką pomoc.

— A czyście wy piśmienny? zapytał Siermięga, patrząc z niedowierzaniem na wytarty mundur.

— Ba! i jak jeszcze! A bo ja to jednemu dopiero pisywał do Landgerychtu! Powiedzcie więc tylko śmiało, a rada się znajdzie.

Opowiedział tedy Siermięga wszystko i dodał na końcu, że nigdzie poratowania znaleść nie mógł w całéj Bydgoszczy. Przez cały ciąg opowiadania, słuchał ów drugi Niemiec za stołem z otwartą gębą, a kiedy Siermięga przestał mówić, z pospiechem zapytał mundurowego, czego się dowiedział. Opowiadał mu tedy mundurowy to, co usłyszał od Siermięgi, a twarz Niemca wyjaśniała się coraz bardziéj, a potém począł coś prędko mówić i roskładać rękami; mundurowy zaś kiwał głową, jakby chciał pokazać, że to się nie uda. Ale snać musiał się jednak dać na-

kłonić, bo wróciwszy się do Siermięgi, rzekł do niego w te słowa:

— Innéj rady dla was nie ma, jak abyście pożyczyli zkąd pieniędzy.

— Żartujecie sobie ze mnie! Któżby mi tam chciał pieniędzy pożyczyć, kiedy mnie tu nikt nie zna.?

To już nie wasz kłopot, odpowiedział mundurowy, tentam Pan, i tu wskazał na owego Niemca za stołem, pożyczy wam, jeśli będziecie chcieli, choćby z 50 talarów. Podpiszecie tylko wasze nazwisko, albo jeśli pisać nie umiecie, to tylko trzy krzyże zrobicie i pieniądze będziecie mogli zgarnąć.

To rzekłszy zasiadł zaraz do stołu, zawołał na arendarza o papier, pióro i atrament i szybko począł coś pisać. Kiedy skończył, położył pióro i przeczytał głośno:

„Ja niżéj podpisany pożyczyłem 50 talarów od Alberta Szpeka, które obowięzuje mu się oddać za rok o te czasy. Co stwierdzam trzema krzyżami, nie umiejąc pisać.“

Podczas gdy mundurowy czytał, spojrzał Siermięga na tamtego za stołem i splunął mimowoli. Bo też brzydko wyglądał Niemiec w téj chwili. Uśmiech jakiś piekielny wykrzywił mu usta, które i tak fajka w podkowę wykręcała; a iskrzące, małe oczki wlepił w papier i czytającego. Skoro zaś tenże czytać przestał, wstał

od stołu, wysypał popiół z fajki, dobył pieniędzy i wyliczył je na stole.

Jakiś głos wewnętrzy mówił Sierżnięcze: nie bierz tych pieniędzy; ale stanęła mu na myśli jego chata i dobytek, który miał utracić, żona i syn jedyny, których czekała bieda i nędza; i nieczekając dłużéj, zrobił pod pismem trzy ogromne krzyże, przy których mundurowy dopisał jego nazwisko, zgarnął pieniądze i wybiegł z szynkowni, jakby go co gnało.

Skoro się za nim drzwi zamknęły, rozległ się po izbie śmiech piekielny. Szpek zacierał ręce i podskakiwał z radości.

Wnet jednakże wszczęła się między obydwoma towarzyszami wielka kłótnia. Mundurowy snać domagał się zapłaty od Szpeka za pisanie i pośredniczenie, a musiał nie mało żądać, bo tamten bardzo się zaperzył. Długo umawiali się z sobą, bo Szpek nie chciał dać tak wiele, a mundurowy ani grosza nie chciał opuścić. I kto wie jakby ten spór był trwał długo, ale mundurowy, któremu się kłótnia sprzykrzyła, począł się zabierać do odejścia i pogroził czemś towarzyszowi. Na tę pogróżkę natychmiast spuścił Szpek z tonu i przystał na wszystko. Ciężko wzdychając wyliczył na stół 10 talarów i kazał dać piwa. Na widok pieniędzy udobruchał się mundorowy i wnet téż wróciła zgoda i serdeczność pomiędzy powaśnionych. Szpek nałożył

sobie z widocznem zadowolnieniem świeżą fajkę i puszczając wielkie kłęby dymu, począł się znów wesoło uśmiechać. Przerwana kłótnią rozmowa zawiązała się na nowo, a widać, że im obydwom był Siermięga na myśli, bo jego imie powtarzali co chwilę.

Tymczasem Siermięga, nie przeczuwając nic złego, spiesznie popłacił najgwałtowniejsze zaległe długi, kupił kołacza dla żony i swego Janka i puścił się do domu, pewien, że już teraz spokojnym być może. Nie mógł się wydziwić poczciwości owego Niemca, który mu pożyczył pieniędzy, choć go nie znał wcale. Biedny nie przeczuwał wcale, co najgorszego uczynił.

Nie umiejąc bowiem ani pisać ani czytać, zrobił owe trzy krzyże pod pisanie, w którém stało 150 talarów zamiast pięćdziesięciu. Nadto, co gorsza, zobowiązał się tém pismem wypłacić po trzech miesiącach dług i ogromny procent od niego. Mundurowy zaś, jak wiemy, przeczytał mu talarów 50, a czas oddania za rok. Myślał więc Siermięga, że przez rok żyjąc oszczędnie, będzie mógł uskładać i oddać dług zaciągniony, i dla tego też taki spokojny wracał do domu.

Był to już wieczór późny, gdy powrócił do wsi. Słońce zaszło już było dawno i tylko wązki różowy pasek zorzy na zachodzie pokazywał ślad, którędy zeszło z nieba. Nikogo już we

wsi widać nie było, wszyscy udali się już na spoczynek, by się snem do jutrzejszéj pracy pokrzepić, tylko poczciwy Maciéj nie spał jeszcze i czekał na Siermięgę. Chciał usłyszeć co rychléj o skutku, jaki wzięły jego zamiary.

Walenty opowiedział mu wszystko, jak było i jak mu się udało pieniędzy pożyczyć. Ta pożyczka nie bardzo się podobała Sikorze.

— Mój Walku, nie gniewaj się, mówił mu tedy kiwając głową, ale ja się bardzo boję, czy czasem pod tą usłużnością owego Niemca nie ukrywa się jaki podstęp.

— Ja téż to samo miałem na myśli, odrzekł Walenty, ale rozważałem sobie w głowie, że kiedy tam stoi napisane jak i co ja pożyczyłem, toć tam w têm żadnéj zdrady być nie może.

— Ba! a czy ty umiesz czytać? A wieszże ty, co on tam napisał? I tego téż to pisania właśnie ja się najbardziej boję, czy tu się nie ukrywa jaka zdrada.

W ten sposób rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potém znużeni obaj rozeszli się do swych chat na spoczynek. Obawy Macieja sprawdziły się niestety zbyt rychło.

Jakież bowiem było zdziwienie Walentego, kiedy po trzech miesiącach otrzymał pisanie, które go przed sąd do Bydgoszczy zapozywało. Poszedł w dobréj nadziei, że się będzie mógł ułożyć z wierzycielem, ale struchlał usłyszawszy,

że 150 talarów zamiast 50 będzie musiał zapłacić. Musiał przyznać, że krzyże sam zrobił pod kwitem, Szpek więc miał prawo za sobą i dla tego sprawę wygrał. Niebawem otrzymał Siermięga zawezwanie, aby należytość z kosztami procesu w krótkim czasie zapłacił; ale zkądżeż miał biedny wziąść tyle pieniędzy? Wkrótce też zjechali się doń egzekutorzy i żandarmi, a za nimi Szpek z całym swoim majątkiem. A dziwnyż to był to ten majątek! Szpek pchał przed sobą taczki, na których wysoko piętrzyły się pierzyny; żona jego pchała drugie taczki, na których prócz kilku sprzętów siedział mały chłopczyk.

Biedny nieszczęśliwy Siermięga, jeszcze dnia tego był bez dachu. Wyrzucono go na drogę z żoną i z synem, który zaledwie rok ósmy zaczął, a za nim tylko bardzo mało sprzętów poszło, bo wszystko zabrano na własność dla Szpeka.

Prawie cała wieś płakała nad nieszczęściem biednego Siermięgi, bo go wszyscy kochali. Ale bo też, kogo nie miał rozczulić widok gospodarza, który w jednéj chwili został bez dachu! Wczoraj był jeszcze zamożnym kmieciem, a dziś mógł się równać chyba z żebrakiem.

Poczciwy Maciéj wnet mu wyszukał skromną i ciasną izdebkę u jednego z gospodarzy na końcu wsi i pomógł mu do niéj wnieść to, co z całego dobytku zabrać mu było wolno. Na-

zajutrz udał się Siermięga do Bydgoszczy, aby się tego lub owego poradzić, ale nikt mu nic nie mógł pomódz. Jeszczećby może, w takim razie, rada się znalazła, gdyby tylko kto umiał ruszyć rozumem; ale Siermięga nie znał się na tém, a z tymi, którzy mu byli mogli dobrze poradzić, nie umiał się rozmówić.

Smutneż to teraz czasy nastały dla niego. W pocie czoła pracować musiał od rana do nocy na kawałek chleba, a przytém gryzł się potajemnie i martwił, że żonę i syna do takiéj nędzy przyprowadził.

II.

Mówią ludzie, że nieszczęście nigdy nie przychodzi samo. Otóż i tutaj tak było. Wkrótce bowiem po tém nieszczęściu, które spotkało Siermięgę, zachorowała mu żona.

Choroba wzrastała szybko i życie widocznie ustępowało z choréj. Siermięga robił wszystko, co mu tylko ludzie radzili, ale wnet poznał, że woli Pana Boga trudno się opierać.

W pare dni po zachorowaniu, życzyła sobie księdza. Biedny Siermięga zalał się łzami, bo mu stanęło na oczach całe jego teraźniejsze ubóstwo, kiedy chora zawołała: „poślij mi po księdza.“ Nie jego już były owe piękne konie, które znane były na całą okolicę; nie było już

czém i kogo posłać, musiał więc o to poprosić Macieja.

Na kominku w izbie Siermięgi płonął pod wieczór dnia tego kaganek i oświetlał słabo twarz konającéj. Wiatr szamotał małem okienkiem, które się i tak już ledwie trzymało w ścianie, a cała chata zatrzęsła się raz po raz w posadach swoich. Cały sprzęt izdebki stanowiło łóżko, w którym teraz Siermięgowa konała i stół oparty o przyległą ścianę. Naprzeciw stołu pod ścianą stała ława i skrzynia, w którój mieściła się odzież całéj zubożałéj rodziny. Na lewo od komina stała w kącie dzierzka od ciasta, niestety już oddawna próżna; obok niéj stało wiadro z wodą. Pod ścianą, przy któréj stało łóżko choréj, leżała wiązka słomy; posłanie Siermięgi i Janka.

Ksiądz przywieziony przez Macieja co dopiero wyszedł od choréj, włożywszy na nią ostatnie olejem ś. namaszczenie, i przed chwilą dopiero ustało turkotanie woza Sikory, na którym odwoził księdza do Łabiszyna.

Milczenie panowało w izbie, przerywane tylko ciężkiem oddychaniem choréj i szumem wiatru, który płatami śniegu uderzał o szyby małego okienka. Siermięga stał oparty o łóżko żony i ocierał łzy rękawem, a mały Janek klęcząc całował rękę umierającéj matki.

— Matusiu! czy wy mi umrzecie? Wszak

mi nie umrzecie Matusiu! wołał, zanosząc się od płaczu, biedny chłopczyna.

— Matusiu! cóż tu Janek będzie robił bez was? Słyszycie jak tam wicher wyje na dworze? Matusiu śnieg pada — i znowu będzie tak zimno, jak przeszłego roku, a kto Jankowi uszyje ciepłą kapotkę, jak wy Matusiu umrzecie? Wszak wy nie umrzecie Matusiu!

Płacz przerwał mu dalsze słowa; wnużył główkę w pierzynę i całował rękę matki, jęcząc żałośnie.

I znowu cisza grobowa zaległa izbę na chwilę; tylko rzężenie choréj coraz bardziéj się wzmagało.

— Matuchnu, nie umierajcie! nie umierajcie! wołał znów Janek po chwili, patrząc na coraz bledszą twarz matki.

A biedna, nieszczęśliwa Siermięgowa, siliła się na słowo ostatniéj pociechy dla sieroty Janka, ale głos zamierał jéj w gardle. Aż wreszcie, dobywając sił ostatnich poczęła mówić urywanym głosem:

— Janku! — kochaj ojca — módl się i pracuj — a Bóg ci będzie błogosławił.

A sięgając w zanadrze dobyła szkaplerza i i podała go Jankowi:

— Weźmij to na pamiątkę po mnie — i zmów codzień paciorek za matkę — Walenty — pamiętaj — o méj duszy!...

Ostatnich słów z trudnością już tylko dokończyła; śmiertelne rzężenie i chrapanie przerwało jéj mowę. Siermięga podał jéj w rękę zapaloną gromnicę i począł ze łzami odmawiać modlitwy przy konających.

W pół godziny potém był Janek sierotą.

Siermięga sprzedawszy odświętną sukmanę, i pozostałych trochę rzeczy żoninych, kupił za to dla nieboszczycy skromną trumnę. Poczciwy Maciéj dał znowu koni na odwiezienie ciała, zapłacił podzwonne i poniósł inne koszta pogrzebu, bo wiedział, że Siermięgę już na to nie stało.

W dzień pogrzebu wyszła prawie cała wieś za zwłokami nieboszczki, a każdy szczerze modlił się za duszę nieszczęśliwéj, którą ręka Pańska w ostatnim czasie tak ciężko dotknęła. Zimny grób objął jéj zwłoki, a w dni kilka mały krzyż drewniany, uciosany ręką Walentego, rospiął nad nią ramiona.

Odtąd co niedzielę po nabożeństwie widywano Janka klęczącego na grobie matki, a latem polewającego kwiaty, które na jéj mogiłce nasadził. Minęły lata, Janek wyrósł na tęgiego parobczaka, a jednak zawsze, kiedy tylko mógł być w kościele, nie przepomniał nigdy pójść na grób i pomodlić się za duszę matki.

III.

Tymczasem inaczéj się wiodło Szpekowi na gospodarstwie Siermięgi.

Jak już wiemy wprowadził się do gotowego, zaczął więc gospodarzyć na dobre, a tak mu się wiodło szczęśliwie i tak mu szło wszystko od ręki, że wnet zarzucił biedny ubiór, w którym przyszedł i począł się ubierać wykwintniéj i kosztowniéj. Kiedy zaś syn jego podrósł, ubierał go tak, jak inne chłopcy we wsi się nosiły; tak że się niczém od nich nie różnił, bo i mowy naszéj się wyuczył. Zwał się Karól, mawiał zawsze, że jest Polakiem i bardzo się gniewał, jeśli go który z chłopców niemcem nazwał. Mimo to nie bardzo on im do serca przypadał.

Bywało, kiedy latem po robocie zejdą się chłopcy ze wsi całéj, to zawsze stronią od Karóla, boć i przyodziewek zawsze lepszy na nim i pycha jak u wielkiego pana. A przytém w pamięci im zawsze, że cudzą krzywdą bogaty.

Między Jankiem a nim nigdy zgody nie było serdecznéj. Kiedy byli jeszcze małemi chłopcami, nie minęli się nigdy, żeby się nie poczubić, i nieraz szedł Karól z potężnym guzem do domu. Gdy zaś podrośli, chciało nieszczęcie, że się razem zakochali w Hanusi, córce Sikorów.

A byłoć się téż rzeczywiście i w czém zakochać!

Na całą wieś była Hanusia najładniejszą dziewczyną. To téż nie oni sami smalili cholewki do niéj, bo każdy prawie z parobków, czém i jak mógł, starał się jéj przypodobać. Śliczne, czarne, krucze włosy, w długą kosę splecione sięgały jéj daleko po za pas, jeśli niemi, jakoby wiankiem, nie otoczyła skroni. Ubrana była zawsze czysto, i chędogo, i nadobnie, a często za kosztownie. Bo téż Maciejowa kochała Hanusię nad życie i nieraz od ust sobie ujmowała byle ją ustroić. Nieszczęściem zbytnia miłość zaślepiła ją zanadto i dla tego psuła córkę mimowoli Przyuczyła ją od młodych latek zamiłowania w strojach, a z latami wrosło to w Anulce w nałóg tak dalece, że byłaby wszystko dała za jaki nowy kwiatek, lub coś podobnego. Była to tedy jedném słowém wielka strojnisia, lubiąca się każdemu podobać Bo dziewczyna lubiąca zbytecznie stroje jest zawsze zalotną, a bardzo to brzydki przymiot.

Prócz tego zbytnia miłość Maciejowéj nie pozwoliła jéj spostrzedz w córce i innych wad, które chociaż ukryte jednak oka matki ujść nigdy nie powinny. Hanusia była bowiem upartą i krnąbrną niekiedy, a z czasem wyrobiło się w niéj to przekonanie, że jéj woli wszystko ulegać powinno. Za młodu kiedy czego zapragnęła, matka dawała jéj zawsze na żądanie, nie dziw, że późniéj gdy wyrosła na dziewczynę, stary

Maciéj z bólem się nieraz przekonywał, że Hanusia na rady i przedstawienia rodziców mało zważała, gdy chodziło o zadosyćuczynienie jéj woli. I ten błąd wielki popełniła Maciejowa, że pamiętając o zewnętrznéj ozdobie ciała Hanusi, mało łożyła na ozdobę jéj duszy i serca. Hanusia też mało patrzała u ludzi na to, czy kto poczciwy i czy pobożny, byle był bogaty a strojno ubrany.

Sikorowie mieli jeszcze jednę córkę ulubioną Macieja, któréj było na imie Małgosia. Jagna nie lubiła téj drugiéj córki swojéj, tak jak Hanusi, już dla tego samego, że nie była tak ładną, jak tamta. A nie patrzała na to, jaka zachodziła różnica co do duszy pomiędzy obiema siostrami!

O ile Hanusia była roztrzepaną, o tyle Małgosia była grzeczną, cichą i skromną; o ile tamta stroić się lubiła, o tyle tatu kochała się w jaknajskromniejszym ubiorze. Dla tego też ubiór Hanusi dwa razy tyle zawsze kosztował jak u Małgosi.

Janek był to chłopak rosły jak dębczak, barczysty i silny, a przytém gładki na licu. Ubiór zawsze na nim choć ubogi, ale zawsze był chędogi, kapelusz zawsze na święto, pięknie przybrany. Ale co tam Janek na zewnętrzną piękność swoją uważał! Wiedział on, że to marny przymiot, i że tylko poczciwość i praca — zdobi

i zbogaca. — Znali go téż wszyscy z tego, że do pracy się nie lenił i wiedzieli, że dla ojca i dla siebie na chleb zarabiał. A serce to już miał takie, że i do rany przyłóż; czy pomódz w pracy, czy wyręczyć kogo, zawsze był Janek pierwszym do tego. Wszyscy go téż we wsi kochali, a nad chłopcami zawsze rej wodził. Każdy z nich chętnie go słuchał i w czém mógł ochotnie pomagał, bo i Janek nieraz za niejednego plecy nadstawił. A kiedy na weselu lub dorzynku, ubrany w odświętną sukmanę, do przodku w tańcu stanął, wtedy już mu nikt w hołubcach nie wyrównał. Wtedy téż musiał Karól z boku patrzeć, jak on z Hanusią dobijał.

Hanusia przypatrywała się z uwagą jednemu i drugiemu.

Bo i Karól był zgrabny chłopak, choć mu daleko było do Janka; ale był za to o wiele od niego bogatszy. Ba! ludzie nawet mówili, że stary Szpek pieniądze miał zakopane. Przyznawała więc Anulka w myśli Jankowi, że ładniejszy od Karóla, ale dodawała zawsze: „szkoda, że taki biedny.“ Dla tego téż, przebiegła dziewczyna, żadnemu z nich nie okazała większéj skłonności. Bo téż Karól umiał na swój sposób jéj się przypodobać.

Nie było jarmarku, z któregoby jéj nie przywiózł jakiego podarunku; nie powrócił nigdy z miasta, żeby jéj nie miał przywieść jakiego

gościńca; a na to nie stało biednego Janka i nie mógł też w ten sposób pozyskiwać sobie przychylności i serca Anulki.

Uważał to sobie stary Maciéj i martwił się skrycie, że dziewcze bardziej na majątek, na znikome bogactwo, jak na poczciwość i pracowitość patrzało. Znał on poczciwość Janka i jego przywiązanie do Ojca i to mu było nie tajném, że do roboty mógł Janek śmiało za dwóch stanąć; dla tego też od dawnych lat pragnął go mieć za zięcia

Staremu Siermiędze nie podobała się Hanusia i z tego, że znał jéj zamiłowanie w strojach i z tego, że widział na własne oczy, jak dla każdego zalotną była. A jakże mu się to podobać miało, że chociaż niby Jankowi nie bardzo była krzywa, mimo to także od Karola nie stroniła i z wdzięcznym uśmiechem podarunki odeń brała. Dla tego też starał się, jak mógł wybić tę miłość Jankowi z głowy, ale przekonał się wreszcie, że chyba Bóg z czasem da synowi lepszy rozum. Trudnaż bo to sprawa zakochanego, słowami zimnego rozsądku, odkochać. Nieraz napomykał mu Ojciec, aby się przyjżał Małgosi, jakie to poczciwe i skromne dziewcze, ale Janek o Małgosi wcale słuchać nie chciał.

Pewnego wieczora kładły się obie siostry na spoczynek, w małéj komorze, w któréj ich łóżka stały. Hanusia oglądała jakiś nowy po-

darunek od Karóla, który jéj przywiózł z jarmarku ze Żnina i cieszyła mu się wielce.

— Patrzno moja Małgosiu, jaki też to ten Karól dobry, on mi zawsze coś przywiezie! Alboż to chusteczka nie ładna?

— Ładnać ci jest, odpowiedziała Małgosia, ale jabym od niego nic nie wzięła.

— Mówisz tak, bo wiesz, że ci nic nie da, więc to tylko zazdrość przez ciebie mówi, odpowiedziała Hanusia opryskliwie.

— Ja? odpowiedziała Małgosia z oburzeniem, miałabymci tych gałganków zazdrościć? Jeszcze od kogo, od owego Karóla, co to ni Polak ni Niemiec, a pewniéj jednak jest Niemcem, chociaż chce za Polaka uchodzić! Żebym była tobą, a Janek by mnie tak kochał, jak ciebie kocha, tobym na Karóla ani nie wejrzała; a ty — nawet gościńce od niego bierzesz, i uśmiechasz się do niego tak słodko, jak tylko umiesz. Wierz mi, Ojciec się bardzo gniewa o to na ciebie.

— Już przestań, moja kochana! przerwała jéj Hanusia z gniewem, bo widzę, że ty mi tylko zazdrościsz tego, że mnie się wszystkie chłopcy starają przypodobać, a na ciebie ani jeden nie spojrzy.

Urwała się rozmowa i tylko słychać było po chwili ciche łkanie Małgosi, tulącéj główkę do poduszek.

Rozdział II.

Co się wtenczas w Polsce działo?

„Najprzód znaj Ojczyzny sprawy:
I jéj klęski i jéj sławy.“

J· O.

Zaznajomiliśmy się więc w Oporowie z dwoma starymi przyjaciołmi, Walentym i Maciejem i z ich domami, a może później jeszcze z tamtąd kogo poznamy; ale teraz trzeba nam uprzytomnić sobie, w jakich to czasach żyli ci nasi znajomi.

Smutneż to były czasy, mój Boże! — aż serce się ściska na samo ich wspomnienie.

Przed 93 laty mniéj więcéj była jeszcze Polska cała i miała własnego króla. Ale widocznie chciał nas Bóg pokarać, bo dał narodowi króla bardzo niedołężnego, właśnie wtedy, kiedy mu dzielnego ramienia monarchy najbardziéj było

potrzeba. Ostatni nasz król Stanisław August Poniatowski, był rzeczywiście istną karą niebios. Nie śmiał on nic z własnéj woli uczynić, jedno się zawsze oglądał na rozkazy carycy moskiewskiéj Katarzyny drugiej.

Dziwném to się zdaje, że król potężnego narodu tak był uległy obcéj monarchini; ale stało się to skutkiem dawnych zabiegów Moskwy, bo od dawna już mięszała się ona do wszystkich spraw Polski, torując sobie drogę do jej ujarzmienia.

Już za dwóch przedostatnich królów, którzy byli Sasami i którzy bardziéj o biesiadach jak o rządach myśleli, wkradł się wielki nieład do kraju. Kłótnie i zwady szły jedne za drugimi, a Moskwa wszędzie gdzie mogła się wtrącała, wszędy waśniąc coraz bardziéj. Na nieszczęście znajdywali się zawsze tacy, którzy dla osobistych widoków z Moskwą się łączyli, nie przewidując wcale, że przez to całemu narodowi wyrządzają krzywdę, jeżeli przy pomocy Moskwy na swojém postawić chcą. A Moskale umieli tak dobrze korzystać z tego, że kiedy przyszło do oboru ostatniego naszego króla, musieli nasi wybrać, wedle woli carycy, Stanisława Poniatowskiego, który był jéj kochankiem i ulubieńcem. Było to największém nieszczęściem tego króla, że za pomocą carycy na tron Polski się

dostał, czuł się bowiem zawsze od niéj zależnym, i nie ufając narodowi, sądził, że bez jéj pozwolenia nic mu uczynić nie wolno. Niepospolite posiadał on wprawdzie zdolności, ale brakło mu silnéj woli. Chociaż więc co najlepszego przedsięwziął, nigdy nie zdołał tego przeprowadzić, jeśli napotkał na przeszkody i trudności. A przytém złe obyczaje jego i rozwiozłe życie tém bardziéj zrobiły go nieudolnym i słabym. Inny w jego miejscu byłby prosił Pana Boga o pomoc w potrzebie, ale król Stanisław nie miał téj gorącéj wiary, która daje siłę i podporę w działaniu. Jednak nikt mu nie może odmówić jak najlepszych chęci, bo wiadomo, że nieraz zamknięty w swych pokojach, gdy sądził, że go nikt nie widzi, płakał nad tém, co się działo i co złego robił.

Od jego téż czasu poczęli posłowie rosyjscy dokazywać i rządzić w Warszawie, jak gdyby wcale króla naszego nie było. Wojska ich stały w naszym kraju, jakby im to się najbardziéj należało, a pod ich osłoną dopuszczali się posłowie najokropniejszych gwałtów. Król powinien był tedy powiedzieć: ruszajcie sobie tam, zkądeście przyśli, nie potrzebujemy tu takich, jak wy, gości; ale król siedział spokojnie w pałacu i nie mięszał się do spraw publicznych, aby nie rozgniewać na siebie carycy. Ale naród cały patrzał na to, co się działo, i dla tego,

kiedy się zebrał sejm, wystąpiło czterech zacnych mężów, którzy nie bojąc się Moskali, powiedzieli im śmiało, że sobie za wiele pozwalają. Zapytali ich też, jakiemby prawem u nas się tak rozgościli.

Zacni ci mężowie byli to dwaj biskupi ks. Sołtyk, i ks. Załuski, oraz dwóch panów Rzewuskich, z których jeden był wojewodą a drugi starostą. I jakżeż nie mieli prawdy mówić śmiało, kiedy wiedzieli, że są na własnych śmieciach i że na sejmie każdemu prawdę wolno mówić?

Tymczasem poseł rosyjski Repnin, który był wtenczas najstarszym nad Moskalami w Warszawie, kazał ich wszystkich czterech gwałtem porwać w nocy z domów i wywieść na Sybir!

Na taki gwałt niesłychany zadrżał naród cały z oburzenia; ale król nie rzekł na to ani słowa, bojąc się rozgniewać carycę.

Biedny a nieudolny król, czuł, że źle robi; ale Bóg odmówił mu silnéj woli, bez któréj nic począć, nic stanowczego przedsięwziąć nie można.

Lecz naród inaczéj był przysposobionym.

Szlachta nie mogąc dłużéj patrzeć bezczynnie na takie bezprawia, zrobiła powstanie, zwane konfederacyą barską, dla tego, że w Barze zawiązaną została. Postanowili sobie przy pomocy Jezusa i Maryi, których święte imiona za hasło sobie obrali, wypędzić Moskali z kraju. Ale, jak to mówią, było siła złego na jednego. Mo-

skalom szły ciągle świeże posiłki. a naszym ustawały siły. Mimo to bili się jednak przez całe cztery lata, nim przemocy ulegli.

Już téż teraz mogli Moskale śmiało robić, co im się podobało; naród nie mógł im się w téj chwili opierać. Dla tego téż, wiedząc o tém, postanowili urwać kawał ziemi na swoją własność.

Wezwawszy tedy Prusy i Austryą do pomocy, przedłożyli sejmowi, który na ten cel zwołać kazali, swoje żądania, rozkazując polskim posłom podpisać, jako niby na ten zabór pozwolenie swoje dają.

Przez okna i drzwi widać było bagnety i armaty rosyjskie, a zapowiedziane przytém było, że nikt nie wyjdzie, aż nie podpisze.

Działo się to roku pańskiego 1772 — a więc dziewięćdziesiąt cztery lat temu.

Przy tym pierwszym zaborze wzięła Moskwa najwięcéj. Prusy wzięły tak zwane Prusy zachodnie czyli królewskie, prócz Gdańska, i żyzne ziemie nad Notecią. Tym sposobem dostało się Oporowo pod panowanie pruskie, jakeśmy to już wyżéj czytali. Rosya zabrała wszystkie ziemie aż po Dniepr i Dźwinę, Austrya wzięła Ruś czerwoną, część Podola i część Małopolski aż do Wisły.

Aby wzburzone umysły zaspokoić, zaprzysięgły trzy mocarstwa sąsiednie, że już nam

więcéj nie wezmą i nigdy nie przekroczą granic naszych; a jakoby na dowód tego wyszły od nas wszystkie wojska moskiewskie, które tu tak długo gościły. Mieli więc teraz nasi wolne ręce i dla tego téż wzięli się rączo do tego, aby zaprowadzić w kraju lepszy ład, jak był dotąd. Wskutek tego téż wnet zakwitły nauki i przemysł, a handel począł się także podnosić.

W szternaście lat po tym pierwszym rozbiorze kraju zebrali się nasi na sejm, tak zwany czteroletni. Sejm ten wybrał z pomiędzy siebie mężów mądrych, którzy mieli ułożyć nowe ustawy. A byli to tam rzeczywiście mądrzy ludzie, którzy te ustawy pisać mieli, bo kiedy je ogłosili, na dniu 3go maja 1791 r. wtedy nietylko się naszym podobały, ale i wszyscy królowie w Europie podziwiać je musieli.

Rożne to tam dobre przepisy zawierały te nowe ustawy, zwane konstytucyą trzeciego maja; najgłówniejszém jednak było tò, że umniejszały one przywileje wielkich panów, powiększały władzę króla i postanawiały uwłaszczenie włościan, czyli uwolniały ich od czynszów i pańszczyzny.

Rok jeszcze przed zebraniem tego sejmu zawarli nasi pokój z Prusakiem t. j. ugodzili się z nim, że sobie będą dawali nawzajem pomoc gdyby miało przyjść do wojny. Rachując tedy na pomoc Prus, zerwali całkiem z Moskalem. Wkrótce atoli potém dowiedzieli się, że Prusy zmawiały

się z Moskwą, aby powtórnie zabrać po kawale naszéj ziemi. Wkrótce téż poczęły wojska rosyjskie zbliżać się do naszych granic. Zażądali tedy Polacy pomocy od Prus, ale król pruski odpowiedział, że on się wcale nie czuje zobowiązanym do dawania pomocy, i dodał w końcu, że Moskwa wcale o wojnie nie myśli.

A tymczasem szukała caryca powodu do wojny.

Przysłowie mówi, że kto chce psa obić, ten kij znajdzie, więc téż i Katarzyna kij znalazła. Podali go jéj magnaci, którym konstytucya z 3go maja znacznie przywileje ukróciła. Nie dziw więc, że czekali tylko na sposobność, aby obalić te ustawy, które im były solą w oku. Do tych tedy magnatów, czyli wielkich panów, udała się caryca i namówiła ich przez swych posłów, aby z bronią w ręku dopominali swych dawnych złotych przywilejów, do czego przyrzekła im pomoc swoją. I rzeczywiście dało się kilku takich panów namówić, bo myśleli, że najlepiéj będzie dla kraju, jak wszystko przy dawnem pozostanie. Każdy z nich ponamawiał tedy drobną szlachtę i zrobili konfederacyą w Targowicy, zwaną od tego zwykle Targowicą. Najgorszém, co zrobili było to, że wezwali Moskwę na pomoc, bo caryca wysłała natychmiast do Polski ogromne wojsko.

Na wieść o tém, co się stało, oburzył się

cały naród na zdrajców Targowiczan, a nawet król Stanisław, przypomniał sobie na chwilę, że jest królem dzielnego narodu, i ogłosił, że sam obejmuje dowództwo nad wojskami polskiemi. A dodać należy, że wojska te zostały powiększone, wedle ustaw trzeciego maja, było więc z kim ruszyć zaraz w pole.

Naród cały nie posiadał się z radości, na wieść, że król myśli zaprzestać słuchania rozkazów carycy, a trzéj dowódzcy wojsk naszych, książe Józef Poniatowski, Tadeusz Kościuszko i Wielchorski wyruszyli naprzeciw nieprzyjacielowi. Ale niestety! nie długo trwał ten zapał króla. Wnet bowiem opuściła go siła ducha i gdy sobie rozważył, jaki srogi gniew carycy na siebie przez to ściągnął, wysłał rozkaz do dowódzców naszych, aby się zawsze przed Moskalami cofali, nigdy ich sami nie zaczepiając. Sam zaś począł pisywać pokorne listy do carycy, z zapytaniem jakby sobie miał daléj postępować.

Widocznie ręka pańska wyciągnięta już była wtenczas nad nami! Gdyby sam był nic nie robił, kiedy się tak bardzo obawiał gniewu carycy, ale żeby był przynajmniéj nie zabraniał innym działać, to byliby się nasi dowódzcy niezawodnie tak z Moskalem uwinęli, żeby mu się było odechciało do nas więcéj zaglądać. Ale rozkaz królewski, pokrzyżował im wszystkie plany. Boć

głupia to wojna taka, wszędy się cofać przed nieprzyjacielem, a nigdy mu nie módz jak to mówią „wsieść na skórę,“ choć ochota bierze do tego.

Jednakowoż kiedy Moskale wleźli na naszych pod Zieleńcami, Połonną, a trzeci raz pod Dubienką, zostali, wszystkie trzy razy ogromnie przetrzepani. Ale na cóż się to przydało, kiedy ów zakaz królewski nie pozwalał gonić Moskali, a tu właśnie tedy bić najbardziéj nieprzyjaciela trzeba, kiedy ucieka, aby mu nie pozwolić zebrać się na nowo. Dla tego téż wnet zaczęło się niepowodzić wojsku naszemu, bo Moskale chociaż zostali pobici, wnet się zebrali na nowo i coraz im nowe przychodziły posiłki.

Tymczasem król dostał rozkaz od Katarzyny, aby przystąpił do Targowicy, dla któréj był naród do broni powołał. Król wiedział dobrze, że mu się to niegodzi, ale tak byłprzyzwyczajony do pełnienie jéj woli, że przystał na wolę swéj Pani. Tém samém obalał konstytucyą z 3go maja, i łączył się z Moskwą wbrew woli całego narodu. Wyszedł więc wkrótce rozkaz do wojska, aby zaprzestało wojny, bo pokój z Moskwą zawarty.

Wieść ta piorunem rozbiegła się po kraju, na wskroś przeważając wszystkich. Bo któż byłby się spodziewał czegoś podobnego po królu, który niedawno temu z takim zapałem naród do walki był wzywał?

Dowódzcy wojsk, a z nimi wszyscy znaczniejsi obywatele, którzy dali dowody jawne, że nie cierpieli Moskali, musieli uciekać z kraju, aby uniknąć więzienia, albo wywiezienia w Sybir. Ale i Targowiczanie wnet się spostrzegli, jakie nieszczęście na kraj sprowadzili przez swoją konfederacyą. Dowiedzieli się bowiem teraz, że caryca na to ich tylko do téj konfederacyi namówiła, aby mogła urwać powtórnie kawał naszéj ziemi. Żal ich teraz ogarnął, że posłużyli za narzędzie wrogowi Ojczyzny. O! jakże straszne musiało im sumienie robić wyrzuty!

Nadto wojska pruskie zajęły Gdańsk i Toruń i wkroczyły w głąb kraju naszego. Powiadali tą razą, że dla tego muszą jeszcze ująć Polsce ziemi, aby mogła być w mniejszych granicach lepiéj rządzoną!

Chcąc nadać pozór prawa temu bezprawnemu postępowaniu, umyślili znowu na sejmie sobie kazać odstąpić to, co wziąść gwałtem chcieli.

Król dostał przeto rozkaz od Katarzyny, aby zwołał sejm do Grodna. Wiedział on, że gdy ten sejm zwoła, będą nasi znowu zmuszeni do podpisania tego, co im każą i dla tego wzdrygał się przez czas niejaki. Ośmielił się nawet napisać do carycy grzeczny list, w którym pisał, że woli złożyć koronę, jak sejm ten zwołać; ale kiedy dostał ponowny rozkaz od niéj, nie

opierał się dłużéj, jedno zwołał sejm wedle jéj życzenia.

Zjechali się tedy nasi posłowie do Grodna. Zastali już tutaj wojsko rosyjskie, które odtąd nikogo z miasta nie wypuszczało. Pełnomocnik rosyjski Siewers, widząc, że Polacy nie myślą wcale o podpisaniu takiego przyzwolenia, począł grozić, że wszystkich, którzy się będą opierali, na Sybir wywieść każe, a dobra ich zabierze. Ale groźby te wcale nie skutkowały. Przeciwnie oburzeni tém do najwyższego, wołali posłowie: „pójdźmy na wygnanie wszyscy, a ty królu nas tam prowadź!“ A król począł im na to przekładać pięknemi słowy, że teraz nie można się opierać i że należy ratować kraj cały, przez ustąpienie małéj jego części. Mowa ta osłabiła więc zapał naszych, groźby ustraszyły też niejednego, tak, że część posłów podpisała ten drugi rozbiór, roku Pańskiego 1793.

Rosya wzięła sobie przeszło cztery tysiące mil kwadratowych; Prusy zabrały całą Wielkopolskę, czyli tę ziemię, która się teraz Wielkiem Księstwem Poznańskiem zowie, a z tém i miasto Gdańsk, co wszystko razem wynosiło tysiąc mil kwadratowych. Austrya nie dostała nic tą razą.

Najgorszém było przytém to, że po tym rozbiorze nie wychodziły wojska rosyjskie z naszego kraju, jak to zrobiły po pierwszym rozbiorze.

Prócz tego chcieli jeszcze wojsko nasze o połowę zmniejszyć.

Wskutek tego dostał jenerał Madalinski rozkaz, aby złożył broń i rozpuścił swoje wojsko. Ale, jak to mówią, trafiła kosa na kamień. Jenerał Madaliński, zamiast usłuchać tego rozkazu, puścił się z swoim oddziałem do Małéj Polski i zdążał ku Krakowu. Wiedział on już bowiem co się w kraju święciło. Po drodze spotykał kilka razy małe oddziały Prusaków i te znosił jedne po drugich.

Skoro się Moskale o tém dowiedzieli, wysłali natychmiast za nim w pogoń znaczny oddział wojska.

Tymczasem kraj cały zerwał się z długiego uśpienia. Od wsi do wsi krążyły odezwy wzywające do powstania i wypędzenia Moskali. Przywołano z zagranicy Tadeusza Kościuszkę, który to razem z innymi musiał uciekać z kraju, po przystąpieniu króla do Targowicy.

Walczył on przez ten czas w Ameryce za wolność i niepodległość tamtego narodu, przeciw Anglikowi, i tam mu też wdzięczny naród pomnik postawił. Na wieść, że kraj potrzebuje jego pomocy, stawił się Kościuszko natychmiast w Krakowie. Załoga naszego wojska, która tam była, przyjęła go, wraz z całą ludnością, wśród największych oznak radości. Tego samego dnia wypędzono z miasta Moskali, którzy

tam także stali załogą. Oddział ten spieszył do obozu moskiewskiego, ale po drodze natrafił na Madalińskiego, a ten wziął ich zaraz w swoje obroty.

Tymczasem w Krakowie ogłoszono powstanie, a Kościuszce powierzono naczelne dowództwo, Naczelnik ustanowił natychmiast radę narodową, przywrócił konstytucyą trzeciego maja i wezwał wszystkich od 18 do 27 roku pod broń.

Jak wielki w początku był zapał w narodzie, można z tego poznać, że w przeciągu czterech dni stawiło się cztery tysiące kosynierów i cztery tysiące strzelców i konnicy. Miał więc Kościuszko już 8 tysięcy, ale nie miał czasu ich ćwiczyć w obrotach wojskowych, bo musiał spieszyć na pomoc Madalińskiemu, którego dogonił ów oddział wysłany za nim w pogoń. A była to trudna sprawa uderzać na Moskali, wprawionych do wojny przez różne bitwy, z garstką świeżych i niewyćwiczonych żołnierzy; ale Kościuszko pokładał w Bogu nadzieję. Spotkał się z nimi pod Racławicami i zadał im tutaj, przy pomocy Bożéj, ogromną klęskę. Polskie kosy świetnie się tu popisały, bo z kosami w ręku zdobywali nasi kosynierzy moskiewskie armaty, a bili przytém co nie miara. Kilka tysięcy trupów moskiewskich zaległo pola Racławic, a przeszło tysiąc wzięli nasi do niewoli. Kosynierzy zdobyli dnia tego 11 armat na Moskalu, przyczém

się odznaczył ów sławny kosynier Bartosz Głowacki, którego imie cały naród dotąd zachowuje w pamięci.

Szczęśliwa ta bitwa dodała ochoty naszym i kto tylko kochał Ojczyznę, a zdatny był do boju, spieszył teraz pod rozkazy naczelnika. A trzeba wiedzieć, że ten naczelnik nie z pańska, ale po chłopsku się nosił, ba, nawet włosy z chłopska zaczesywał. Oj! bił ci on téż Moskali uczciwie i byłby ich niezawodnie wygnał za dziesiątą granicę, ale naszło tego bez liku do naszego kraju, podczas kiedy on dopiero mało miał wojska. Zaledwie bowiem zebrało się koło niego kilkadziesiąt tysięcy, a już wyruszyli na niego Moskale z Prusakiem w ogromnéj sile.

W Warszawie zostawili oni tylko kilka tysięcy, a dali im rozkaz, żeby spalili miasto i wyrznęli wszystkich mieszkańców, gdyby się miało zrobić jakie zaburzenie w mieście. Ale i Warszawianie chcieli iść za przykładem Krakowa. W same więc pierwsze święto Wielkiéj Nocy porwali się do broni i poczęli się uganiać przez dwa dni z Moskalami. A tak im to poszło od ręki, że nie wielu z miasta wypuścili. W téj to potrzebie odznaczył się ów sławny szewc Kiliński, który całym cechem szewskim dowodził i sam przytém ręki nie żałował.

Była więc Warszawa teraz wolna na chwilę, ale za to na wojsko ciągnęła wielka burza. Ko-

ściuszko téż, chcąc jéj uniknąć, ruszył naprzeciw Moskalowi i chciał się z nim rozprawić, nimby się z nim złączył Prusak, boć trudniejsza to sprawa z dwoma, jak z jednym. Znalazł ich téż pod Szczekocinami i chociaż już było bardzo późno z południa, zabrał się jednak zaraz do nich. Nasi bili, ile sił stało, a bili tak dzielnie, że pod wieczór zaczęli Moskale ustępować. Ale na nieszczęście zbliżała się noc i musieli ściganie odłożyć na drugi dzień. Aż tu nazajutrz, skoro świt, widzą Prusaków, którzy w nocy nadciągnęli. Było ich tam tedy razem około 50ciu tysięcy, a tu nasz naczelnik kochany, nie miał ani połowy tego. Widziałcić on teraz dobrze, że już ani myśleć o tém nie może, aby mógł taką przemoc zwyciężyć, począł więc radzić o tém, jakby się wydostać z téj matni. Umyślił tedy bić z początku ile sił starczy, a potém powoli, a w porządku, zaczął się cofać.

Nasi bili się dnia tego, jak przystało na dzielnych synów Polski, nie pytając wcale o to, że tamtych dwa razy tyle było; przyczém kosynierzy wcale nie zostawali za drugimi. Dla tego téż, kiedy naczelnik nakazał odwrót, wcale nieprzyjaciele nie mieli ochoty naszych ścigać, bo i dosyć strat dnia tego ponieśli, i spieszno im było z powrotem ku Warszawie.

Skoro téż tylko tam zaszli, natychmiast rozpoczęli oblężenie. Król pruski Fryderyk Wil-

helm II. kierował całém oblężeniem, a naszym w mieście coraz bardziéj poczęło się robić duszno. Ale w tém przyszła wiadomość, że w Wielko Polsce wybuchło powstanie. Na tę wieść wolał król pruski pospieszyć, by ratować co swego, jak pomagać Moskalowi, i nieczekając odstąpił z wojskiem od Warszawy, a pospieszył do Wielkopolski.

Kościuszko bowiem nie zasypiał sprawy. Wiedząc dobrze, że tylko wtedy odprawi Prusaków od Warszawy, jeźli u nich zanieci wojnę, kazał dowódzcom małych oddziałków powstańczych przenosić się, ile możności, do Wielkopolski, aby tam tém łatwiéj powstanie wzmagać się mogło. Skoro zaś król pruski wyruszył tam dotąd z swojém wojskiem, wysłał naczelnik jenerała Madalińskiego ze znacznym oddziałem na pomoc powstaniu tamtejszemu.

Ale jenerał Madaliński poniósł klęskę przy przeprawie przez Narew, wysłał więc Kościuszko za nim jenerała Henryka Dąbrowskiego, który po kilku szczęśliwych utarczkach połączył się z Madalińskim. Na czele tedy obydwóch oddziałów wkroczył Dąbrowski do Wielkopolski, czyli do téj części Królestwa Pruskiego, która się teraz Wielkiém Księstwem Poznańskiem zowie.

Czekały tu już na niego dwa wojska pruskie: jedno pod jenerałem Szwerinem w okolicy

Gniezna, a drugie pod Szekelim, który stał w Inowrocławiu.

Dąbrowski, świadom wojennych obrotów, obszedł Szwerina wojsko stronami, a ku Szekelemu podszedł aż do Łabiszyna.

Rozdział III.

Oporowscy Ochotnicy.

I.

Rozumie się samo przez się, że o tém co się działo w kraju, słychać także było w Oporowie. Różnieć tam ludzie opowiadali sobie, jeden tak, drugi owak; ale kiedy oddziały powstańcze pokazywać się poczęły, wymykały się milczkiem z domów co dzielniejsze chłopcy. W tém przyniósł ktoś nowinę, że Dąbrowski zbliża się w strony Łabiszyna.

Janek, który, jak zawsze do wszystkiego,— tak i teraz był pierwszym do tego, żeby iść do wojska; umyślił nie czekać dłużéj, ale pospieszyć naprzeciw obozu Dąbrowskiego. Prócz niego znalazło się pięciu tęgich chłopców, którzy postanowili iść z nim razem.

Jednego wieczora, gdy powracali z pola, rzekł mu z nich jeden:

— Janku my wszyscy, jak nas tu widzisz, pójdziemy z tobą. Kiedyć to teraz z kosami do wojska przyjmują, toć i my się na coś przydamy.

— Ale na wojnie zabiją, odpowiedział Janek z uśmiechem.

— Toć i my nie będziemy stali z założonemi rękoma, rzekł któryś.

— No! to pójdziemy razem, będzie weselej; mówił Janek ucieszony z tylu dzielnych towarzyszy.

— A kiedyż to pójdziemy Janku?

— Jutro pójdziemy razem wszyscy do spowiedzi świętej i do Stołu Pańskiego, a zaś o północku bądźcie za wsią, przy Bożej Męce, tam ztąd razem wyruszymy.

Nazajutrz rano spowiadało się w Łabiszyńskim kościele, sześciu raźnych chłopaków i przystępowało do świętej komunii. Był tam z nimi razem jeszcze siódmy jakiś garbaty i niepozorny chłopiec, ale nie zwracał na siebie ich uwagi, boć każdemu wolno iść do świętej spowiedzi, kiedy mu się podoba.

Pod wieczór dnia tego wrócił stary Siermięga z Jankiem od pracy. Dowiedział się od niego już po drodze, że o północku wychodzi z drugimi do wojska polskiego, i dla tego ocierał łzy rękawem.

Bo i jakżeż nie miał płakać biedny starzec!

Żonę już dawno temu pochował, starość się przybliżyła z latami, i pracować przychodziło mu już teraz z większą trudnością jak dawniéj; został mu tylko syn jedyny, ukochany Janek, ostatnia jego nadzieja, i ten szedł teraz na wojnę, zkąd łatwo mógł nigdy nie wrócić.

— Synu! rzekł więc wśród łkania Siermięga, czy ty na prawdę chcesz mnie opuścić? I któż mi zamknie powieki, jeśli mi ciebie tam zabiją! Niezadługo pewnie nie będę już mógł więcéj zarobić sobie kawałka chleba, i przyjdzie mi może na to, że o kiju będę musiał prosić u obcych jałmużny.

— Ojcze! odpowiedział Janek, całując twardą od pracy rękę ojca, Bóg jest jeszcze nad nami! On nigdy nie zapomina o sierotach, to téż nie zapomni i o was ojcze. Tyle już zsyłał na was krzyżyków, to może tą razą ulituje się nad wami i zachowa mnie przy życiu dla was. Oj! ciężko byłoby mi umierać, gdybyście wy mi ojcze stali przed oczami w chwili konania, ale, widzicie ojcze! jak świat światem, jeszcze się nigdzie nie działy takie bezprawia, jak u nas się teraz dzieją. Kiedy łońskiego roku napadli naszego sąsiada Frąckowiaka złodzieje, a wyście lecieli na wyskok ich gonić, wtedy ja wam mówiłem: zostańcie ojcze w domu, bo może was, broń Boże, który zranić; pamiętajcie jakeście mi wtedy mówili, że tam każdy iść powinien, gdzie

obowiązek i sumienie każe! A teraz chcieliżbyście zabraniać mi iść tam, gdzie mi powinność i sumienie każe?

W ten sposób mówił Janek daléj, a stary Siermięga aż się zdziwił mądrości syna. Bo téż Janek wyłożył mu wszystko tak jasno, że stary uznał teraz, iżby się niegodziło wstrzymywać syna od tak świętéj sprawy.

— Pójdź synu, rzekł tedy po chwili, niech cię pobłogosławię. Widzę żeby było grzechem zatrzymywać cię w domu, idż więc, a nie zrób mi wstydu, jakeś mi go dotąd jeszcze nigdy nie zrobił. Nie oglądaj się na to, gdy będziesz w bitwie, że ja tu zostanę sam nieszczęśliwy bez ciebie, bo Bóg i o mnie nie zapomni. A będę go téż gorąco błagał, to może i pozwoli ci powrócić szczęśliwie.

I ukląkł stary pobożnie przed obrazem Bogarodzicy i jął się modlić ze łzami:

— Matko żywego Boga, prowadź syna mojego i kieruj krokami jego, weźmij go pod świętą twoją opiekę, kiedy już taka potrzeba, aby narażał życie dla dobra Ojczyzny.

A wziąwszy głowę Janka, który klęczał przy nim, przytulił ją do piersi swoich i przeżegnał ją krzyżem świętym. Janek ściskał ojca za kolana i całował mu ręce. Długa przeszła chwila, nim się stary uspokoił.

— Janku byłeś ty się pożegnać z Maciejem?

zawołał nagle ocierając łzy, które mu bez ustanku z ócz sączyły.

Nie ojcze, nie byłem tam jeszcze, odrzekł Janek i spiesznie poszedł do chaty Sikory.

II.

Chata Sikory była druga z rzędu gdy się wjeżdżało do wsi z Łabiszyna. Była to jedna z większych i dostojniejszych chat we wsi całéj, chędoga i cała świeciła się z daleka dostatkiem, a nadewszystko porządkiem. Poszycie jéj nie było nowe, ale jeszcze dobre i szczelne. Z przodu była przybudowana mała wystawka, podparta dwoma słupami, a pod nią ławeczka, na któréj zwykł siadywać Sikora latem po pracy. Wystawa ta dzieliła cały dom na dwie połowy, z których każda miała po jedném oknie. Z lewéj strony przypierał do niéj płot, odgradzający od drogi, środkiem wsi idącéj ogród, na który patrzało się przez małe okienko z alkierzyka, kędy dziewczęta sypiały. Po za chatą stały w czworobok zbudowane budynki gospodarcze, tworząc małe podwórko, na którém, jak to zwykle bywa, stały wozy, pługi i inne rolnicze narzędzia. Po tém wszystkiem skakały ulubione kury Małgosi, gęsi i kaczki, które na jéj zawołanie zewsząd do niéj się zwykły były zbiegywać. Wjeżdżało się na podwórze z pra-

wéj strony domu przez małe i dosyć ciasne wrota, prawie nigdy nie zamykane.

Otóż wewnętrzna postać zagrody Sikory, wejdźmy teraz do jego chaty. Z przodu od drogi pod wystawką były drzwi wiodące do sieni. Tutaj była po prawéj ręce drabinka, wiodąca na górę, a pod nią drzwi do izby czeladniéj. Naprzeciwko wchodu do sieni, były drzwi do kuchenki, przez którą wychodziło się na podwórze, a po lewéj ręce prowadziły drzwi do izby, do któréj teraz zajrzymy.

W całéj izbie widać było porządek i dostatek. Izba była świeżo umieciona, ściany czyste i białe, a na nich pozawieszane piękne obrazy Pana Jezusa, Matki Boskiéj i Świętych Pańskich. Tuż przy drzwiach, gdy się weszło, był komin, na prawo przy ścianie stała wielka szafa, w kwiaty pomalowana, a na jéj policach błyszczały miski, czysto pomyte i kilka nowych łyżek. Naprzeciw drzwi, stały pod ścianą dwa łóżka wysoko usłane czystą pościelą, a pomiędzy dwoma temi łóżkami były drzwi małe do alkierzyka dziewcząt.

Już było późno z wieczora. Sikora siedział oparty na stole, który stał pod oknem i wzdychał ciężko, a Jagna pościełała mężowi łóżko. Dziewczęta siedziały na ławie zawiesiwszy smutnie główki, a nawet można było łatwo dostrzedz, że tak one obie, jak i rodzice mieli wszyscy łzy w oczach. Dowiedzieli się bowiem przed

chwilą, że ich Wawrzyn, który im już od kilku lat za parobka służył, wybierał się do wojska polskiego. Cały dzień kręcił się jakiś niespokojny, powróciwszy z Łabiszyna od spowiedzi świętéj, aż wreszcie pod sam wieczór był się pożegnać z gospodarzem i gospodynią. Płakali nad nim, jak nad własnym synem, bo przez kilka lat jego służby szczerze przywiązali się do niego; ale płacz ten wzmógł się jeszcze bardziej, kiedy im Wawrzyn powiedział, że ich aż pięciu z Jankiem się wybiera.

— Mój Boże! mówiła Hanusia, po wyjściu Wawrzyna, potrzebneż im to iść na śmierć niechybną! A ten Janek! pewnie on ich do tego namówił, mógłbył sobie sam iść, kiedy go tam tak bardzo coś ciągnęło!

Stary Maciej zerwał się na to słowo na równe nogi.

— Córko! i ty śmiesz takie grzeszne słowa gadać głośno w obec mnie! Więc u ciebie nic nie znaczy miłość Ojczyzny i święty obowiązek służenia jéj w potrzebie! A nie wiesz ty to, że Ojczyzna droższą nam być powinna nad nędzne nasze życie! Przecież to kraj uświęcony kośćmi ojców, w téj ziemi pochowanych, których prochami oddychamy. Przecież to święta ziemia, ta nasza Ojczyzna, jak ją nazwał ojciec św. Paweł V, kiedy mu posłowie nasi przywieźli chorągwie, zdobyte na Turku pod Chocimem i o relikwie

św. prosili. Powiedział im tedy ojciec św.: „pocóż prosicie mnie o relikwie, weźmijcie garść ziemi waszéj, a ona cała przesiąkła krwią męczenników za wiarę świętą! A czyż nadto nie kazał nam Zbawiciel nasz kochać Ojczyzny, dając nam sam z siebie przykład, kiedy płakał nad Jerozolimą, przewidując jéj straszny upadek! Ja kocham Janka teraz jeszcze bardziej za to, że kocha Ojczyznę bardziéj, jak ojca, choć wiemy wszyscy jaki syn z niego, i że porzuca ojca, gdy tego Ojczyzna po nim wymaga.

Tak prawił Sikora z zapałem, a potém siadł smutny i zmartwiony na ławie. Hanusia milczała zawstydzona i upokorzona, bo dawno już i prawie nigdy jeszcze nie widziała ojca tak zagniewanego na siebie. Ale poczciwa Małgosia, litując się nad siostrą, choć czuła i wiedziała, że słuszny był gniew ojca, chcąc jednak obronić Hanusię, odezwała się nieśmiało:

— Nie gniewajcie się ojcze na Hanusię, boć ona tak źle nie myślała jak powiedziała. Zwyczajnie żal jéj podsunął te słowa do ust. Bo i jakżeż nie żałować, kiedy tak łatwo może z nich który nie wrócić do sioła.

Właśnie gdy tych słów domówiła, otworzyły się drzwi, a w nich ukazał się Janek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, Amen, odpowiedzieli prawie wszyscy razem.

— Macieju! przyszedłem was pożegnać, rzekł Janek.

Stary Maciéj pokiwał głową i rzekł smutnie.

— Wiem już Janku, wiem dokąd cię Pan Bóg prowadzi. Bóg ci zapłać, żeś nie zapomniał o nas i choć pożegnać przyszedłeś. Niech jego ręka wszechmocna strzeże cię od wszelkiéj przygody.

To mówiąc począł ściskać Janka i zrobił krzyż nad głową jego. Jagna błogosławiła go także ze łzami w oczach, a Janek całował obojga po ręku, łzy ocierając rękawem.

— Macieju, mówił Janek po chwili, wszystko w ręku Boga, ale gdybym, broń Boże, nie miał już więcej powrócić, pamiętajcie tu o moim starym ojcu, bo cóż on pocznie biedny, kiedy mnie nie będzie przy nim!

— Janku, a na cóż ty mi to mówisz! Wiesz przecie, żem twojemu ojcu zawsze był przyjacielem i żeśmy się zawsze wspierali w każdéj potrzebie, więc téż i teraz bądź spokojny i rachuj na mnie, że go nie opuszczę, gdy ciebie nie stanie.

Janek uściskał poczciwego Sikorę za kolana, a Maciéj objął go w silne ramiona i począł ściskać i całować jak syna.

Dziewczęta stały dotychczas na stronie, ocierając łzy zapaskami. Teraz zaś schowała się Małgosia do komory, bo dłużéj już znieść wi-

doku tego nie mogła, a nie chciała pokazać zbytniego swego wzruszenia. Bo biedna Małgosia kochała Janka z całego serca, chociaż wiedziała, że on nie pomyśli o niéj nigdy, i dla tego téż teraz, kiedy sądziła, że go może raz ostatni ogląda, objął ją żal, z którym najlepiéj każdemu być zdala od ludzi.

Hanusia tymczasem nie rozczuliła się tak bardzo, chociaż i ona łzy rzęsiste wylewała. Czekała spokojnie, aż ojciec puścił Janka i wtedy przystępując do niego, podała mu medalik, na którym malowana była Matka Boska Częstochowska, wiszący na czerwonéj tasiemce.

— Janku, powiedziała, ocierając łzy zapaską, noś ten obrazek na piersiach, niech cię Matka Boska strzeże od wszelkiego nieszczęścia i przyprowadzi szczęśliwie do domu.

To mówiąc zawiesiła mu na szyi medalik.

Janek wziął to za dowód przywiązania z jéj strony, i dla tego ucieszył i rozczulił się jeszcze bardziéj. Wiedział on bowiem, że ten obrazek Hanusia zawsze nosiła na sobie, chcąc jéj się więc odwdzięczyć, dobył z zanadrza swego szkaplerza, który nosił od śmierci matki na piersiach, i podając go rzekł jej rozczulony:

Wiem, że ci drogim jest ten medalik i żeś go zawsze nosiła; dla tego nie chcę go wziąść na własność. Zróbmy więc zamian: tyś mi dała twój obrazek, weźmij za to tymczasem mój

szkaplerz. Jak powrócę weźmie każde z nas, co swego. Noś ten szkaplerz Hanusiu, i zmów czasem za mnie paciorek, ale mi go nie zgub, bo to pamiątka jedyna, którą mam po matce.

Anulka ucałowała szkaplerz i zawiesiła go na szyji, a Janek pożegnawszy jeszcze raz wszystkich, pochwalił Pana Boga, i spiesznie wyszedł z chaty, aby ukryć łzy i wzruszenie swoje.

Kiedy wychodził za próg, zdawało mu się, że się ktoś szybko schował za ścianę. Nie był jednakże pewien, czy mu się dobrze zdawało, a czasu też nie miał aby się przekonać, bo nie wiele brakło już do północy. Pospieszył więc do domu, nie troszcząc się o to, co mu się zdawało.

Jednakowoż nie mylił się wcale. Podczas tego bowiem, kiedy się żegnał w izbie, stał Karól Szpek pod oknem i patrzał na wszystko iskrzącemi oczyma. Aż zgrzytnął zębami gdy zobaczył, jak Hanusia zawieszała medalik Jankowi na szyji i całowała szkaplerz, który on jéj podał. Z gniewu i zazdrości targał sobie włosy na głowie i zaklinał się, że się zemści na nim za to.

Tymczasem Janek poszedł szybko do domu, pożegnał się jeszcze raz z ojcem i pospieszył za wieś pod krzyż, gdzie się wszyscy zebrać mieli. Było ich tam już czterech, Janek przybył piąty i czekali teraz tylko na szóstego, aby się puścić w drogę;

ale tego szóstego jakoś długo widać nie było. Po dobréj chwili dopiero ujrzeli, że ktoś nadchodzi; myśleli więc wszyscy, że to oczekiwany szósty ochotnik. Jakież było jednakże ich zdziwienie, kiedy zamiast oczekiwanego parobka, ujrzeli garbatego Frącka z ogromną kosą w ręku.

Garbaty Frącek był owczarkiem we wsi. Była to mała, niepocieszna osóbka. Czarne długie włosy sięgały mu za plecy, bo głowa siedziała głęboko pomiędzy ramionami, jak zwykle u garbatych. Małe czarne oczki ruchały się bez ustanku, a miały ten dobry przymiot, że mógł niemi nawet w nocy dosyć dobrze widzieć. Z pomiędzy ócz wyrastał ogromny nos, który wysoko sterczał nad wierzchnią wargę. Miał przytém tak ogromne uszy, że mu prawie do ramiona sięgały. Rozumie się, że był to mężczyzna wcale nie wysoki, jak zwyczajnie garbaty; jedném słowem: była to osoba do wszystkiego, tylko nie do wojny zdatna. Wiedzieli jednak o nim wszyscy, że był chłopak bardzo uczciwy i dobrego serca i że rozumu to już miał za czterech. Jednakże to wszystko nie wystarczało, żeby z Frącka mógł być wojak.

Skoro go więc zobaczyli, uzbrojonego w ogromną kosę, wybuchli wszyscy razem serdecznym śmiechem.

— A ty tu po coś przyszedł, z tą kosą

okropną? zapytał go Janek, śmiejąc się do rozpuku.

— Po co? po to co i wy! odpowiedział Frącek. Myślicie pewnie, że ja nie wiem o niczém? Bardzo ładnie, żeście przed babami nic nie gadali, ale przedemną trudno coś utaić. Wczoraj kiedyście się wieczorem naradzali, przysiadłem w rowie za drzewem i słyszałem wszystko. Czyż to tylko wam samym tam iść wolno? — Jakeście mi nie mogli zabronić dziś rano przystąpić z wami do świętéj komunii, tak téż i teraz nie możecie mi zabronić iść z wami!

— To wszystko prawda, co ty mówisz, odpowiedział Janek, aleś ty przecie za słaby, mój bracie!

— Co? za słaby? — Myślicie, że ja garbaty to z wami nie zdążę? Nie bój się mój bracie o mnie, zajdę ja daléj, jak niejeden z was.

Janek począł tedy garbatemu przekładać, że do wojny nie zdatny, że chociażby i zaszedł, to jednak potém daléj go nogi nosić nie będą; drudzy téż dopomagali jak mogli, aż wreszcie Frącek uznał, że mu dobrze radzą.

— Chłopcy! rzekł tedy poczciwy garbus, kiedyć mnie już zabrać nie chcecie, to weźmijcie przynajmniéj te kilka groszy, którem zabrał ze sobą i kupcie sobie za nie po drodze trochę strawy. Tylko się nie zdrażajcie, bo ja wiem, że jak jeden tak i drugi nie ma złamanego sze-

ląga przy duszy, a wy wiecie, że ja za skórki prędzéj mogę coś uskładać. Janku weźmij to i rozrządzaj, bo wiem, że jeśli który, to pewno ty nic nie masz, — tyś ostatni grosz ojcu oddał.

Poczciwiec tak się długo naprzykrzał, aż wreszcie przyjęli jego pieniądze. Wtedy dopiero pożegnał się z każdym z kolei i puścił się z powrotem do domu.

Wkrótce nadszedł też oczekiwany szósty parobek i wszyscy nasi ochotnicy z Oporowa puścili się w drogę. Nazajutrz pod wieczór natrafili na obóz Dąbrowskiego i zostali przyjęci do kompanii kosynierów, dowodzonéj przez majora Jarzembkowskiego. Powiedziano im téż, że nie długo wrócą w swoje strony, bo Dąbrowski prowadzi oddział swój do Łabiszyna.

III.

Dopiero nazajutrz rano, po wyjściu naszych ochotników, wiedziała cała wieś, że poszli do wojska polskiego. Każdy mówił o nich z współczuciem i życzył od serca, aby szczęśliwie wrócili z powrotem.

Karóla gniewało to niezmiernie, że wszyscy chwalili Janka i tych co z nim poszli, a każde słowo pochwały padało mu na serce, jak wosk

roztopiony i paliło go żarem zazdrości. Pod wieczór dnia tego spotkał się z Hanulką.

— Tyś Karólu nie poszedł z nimi? zapytała go się pusta dziewczyna. A wszakżeś mi to zawsze mawiał, żeś ty Polak taki dobry, jak i drudzy, boś się na polskiéj ziemi urodził. A teraz bałeś się iść bić się za Polskę?

— Miałbym też rozum narażać się na śmierć, kiedy mnie tu dobrze, zwłaszcza przy tobie kochana Hanusiu, odpowiedział Karól i chciał się milutko uśmiechnąć, ale mu śmiech zamarł na ustach. Pytanie Hanusi było z takiém szyderstwem uczynione i tak go ubodło, że go odeszła chęć do śmiechu.

— A jednak Janek się nie bał na śmierć się narażać i poszedł najpierwszy ze wsi z kosą i toporkiem.

— Co tam Janek! odpowiedział Karól, którego to imie ubodło, jak osa. Gdybym był chciał, byłbym mógł jechać, a nie potrzebowałbym pieszo lecieć, jak Janek.

Chciał biedak chociaż w ten sposób pokazać swoją wyższość nad Jankiem, ale i to mu się nie bardzo udało, bo Hanusia poznała, że lubi siedzieć za piecem. Chcąc go więc jeszcze troche ugniewać, dodała:

— Toć mógłeś był i jechać, boć to nie ładnie wygląda, żeś zdrów i silny pozostał w domu, a mówią, że nawet garbatego Frącka nie

ma i domyślają się, że musiał iść razem z drugimi.

— Ja bo i czasu nie mam, odpowiedział Karól, który przez ten czas szukał wybiegu w głowie, bo muszę jutro odstawić zboże do Inowrocławia.

— Toćby ze zbożem i ojciec był mógł pojechać, jeśli o nic więcéj nie chodzi, ale ty, jak widzę nie myślisz wcale o wojnie, a zawsześ mi powtarzał, żeś ty Polak i kochasz Polskę!

Stary Maciéj nadszedł w téj chwili i domyśliwszy się o co rzecz chodzi, dodał z swéj strony:

— Oj! źle mój Karólu, że taki młody jeszcze jesteś, a boisz się prochu powąchać. Bo, żeby nie ten piąty krzyżyk, co mi cięży na karku, pewniebym i ja nie siedział w domu.

Karól nie odpowiedział nic na to, tylko nacisnął czapkę na uszy i spiesznie pomknął do domu.

— Coś nie bardzo ma mu się na wojaczkę, mruknął za nim stary Maciéj. Nie cierpię tego chłopaka. Jakoś źle mu z oczu patrzy. Wiesz co Anulku, wolałbym ja jednak Janka, jak jego.

Anulka nie rzekła ani słowa na to. Nie podobało jéj się, że Karól nie poszedł razem z drugimi, ale myślała sobie: a któżby téż objął gospodarstwo po starym, jakby Karól zginął? Milcząc więc weszła z ojcem do chaty i prosto

poszła do alkierza na spoczynek. Wkrótce téż smacznie zasnęła snem ciężkim i niespokojnym. Dziwne jéj się téż rzeczy śniły.

Widziała jakieś wielkie pole, na którym było bardzo wiele trupów. Pomiędzy niemi leżał Janek, strasznie pokrwawiony i poraniony. Po chwili wstał i szedł do niéj, ale w tém zjawił się Karól, rozpiął sukmanę i pokazał mu piersi. Janek gdy to zobaczył, odwrócił się od niéj i padł na ziemię....

W téj chwili zbudziło ją ze snu pukanie do okienka.

Rozdział IV.

Jakie były zamysły Karóla i jak się Frącek starał, aby się na coś przydać!

Widzieliśmy Karóla, jak nacisnąwszy czapkę na uszy spieszył do domu. Przez drogę mruczał sam do siebie, zgrzytając zębami i zaciskając pięście:

— Wszędzie i zawsze ten Janek mi zawadza. Wszędzie go chwalą, wszędzie mi go za wzór stawiają — ażeby go... i tu zaklął straszliwie. Teraz poszedł na wojnę, znowu go chwalą wszyscy i Hanusia go chwali, widocznie przenosi go nademnie. Gotów mi ją wziąść z przed nosa, jak wróci z wojny. Cóżbym ja dał za to, żebym go się mógł pozbyć...

Bijąc się z takiemi myślami, zaszedł do domu. Wszyscy już spali, tylko stary Szpek czu-

wał jeszcze, czekając za synem. Kiedy Karól wszedł do izby, podpadła staremu jego smutna mina.

— Cóż ci to Karólku? Czegoś taki smutny? Czyś ty nie chory czasem? zapytał go stary troskliwie, ale Karól nie chciał nic gadać! Dopiero po długiém naleganiu starego, dał się nakłonić do wypowiedzenia tego, co mu dolegało. Rozmawiali tedy po swojemu, a że to nie wszędzie tak syn mówi z pokorą do ojca, jak u nas, więc posłuchajmy, jak oni rozmawiali ze sobą.

— Ty wiesz, mówił Karól do ojca, że ja bardzo kocham Hanusię.

— Wiem, stary Sikora ma ładne gospodarstwo. Ale cóż ztąd, przecież Hanusia chętniéj pójdzie za ciebie, jak za tego gołego Janka.

— Ty tak myślisz, odpowiedział Karól ojcu z lekceważeniem, ale ona inaczéj ma w głowie. Teraz niedawno trafiłem się z nią we wsi. Wiesz, o czém mi gadała? O Janku, że taki śmiały i że poszedł na wojnę, a że ja za piecem siedzę. Widocznie nie chce ze mną teraz wcale gadać. Dałbym moją duszę za to, żebym mógł się jako pozbyć tego Janka przeklętego, który jéj głowę zawrócił.

Stary Szpek pokiwał głową i zamyślił się głęboko; dopiero po dobréj chwili zaczął mówić po cichu, pochyliwszy się do syna.

— Nie frasuj się tak Karólku, bo na wszy-

stko jest rada. Wiemci ja sposób dobry, żeby tego Janka usunąć, ale to rzecz bardzo niebezpieczna. Słuchaj no uważnie, szeptał daléj, Polacy pono się zbliżają tu do nas. Dziś więc jedź jeszcze do Inowrocławia do Szekelego i powiedz mu, że mu możesz pokazać dobrą drogę, przez bory do nas. Jutro wrócisz jeszcze raz i przepatrzysz, ile tu będzie tych Polaków, a potém wrócisz i opowiesz to wszystko Szekelemu. Prusacy przyjdą tedy w nocy niespodzianie i połapią ich wszystkich. Rozumie się, że ty się o to postarasz, aby i Janek został z drugimi związany. Dla tego téż dobrze musisz zobaczyć, w którym miejscu będzie stała jego kompania, i dla tego téż właśnie, jeszcze raz musisz tu wrócić, skoro go już tylko dostaną, to albo wcale, albo téż przynajmniéj nie tak wnet go puszczą. Tymczasem uprzykrzy się Hanusi czekać za takim gołyszem, i pójdzie za ciebie niezawodnie. A szkodaby jéj było, a jeszcze bardziéj jéj gospodarstwa, gdyby je Janek miał dostać.

Podobała się synalkowi ta piekielna rada i postanowił, bądź co bądź robić tak, jak mu ojciec radził. Dla tego téż nie czekając wyszedł zaprządz sobie konie. W téj chwili przyszło mu na myśl wczorajsze pożegnanie Janka w domu Macieja z Anulką.

— Gdybym ja tak, pomyślał sobie, dostał

ten jego szkaplerz od niéj, tobym mu go pokazał, kiedy już będzie związany, jak baran, i powiedziałbym mu: „widzisz jak mnie Hanusia kochała; patrz! nawet mi dała twój szkaplerz, coś jéj dał do schowania, bojąc się, abyś nie zgubił tak drogiéj pamiątki.“ A kiedy on będzie się wściekał ze złości, wtedy ja to dopiero się będę cieszył!

Wiedział on dobrze, że gdyby Janek zobaczył w jego ręku swój szkaplerz, już by ani nie spojrzał na Hanusię, choćby i powrócił do wsi. Wiedziony téż tą myślą, powrócił do izby, wydobył ze skrzynki piękny sznur korali, schował go w zanadrze i ruszył do chaty Sikory. Wiedział jak Anulka namiętnie stroje lubiła, a znał swoje korale, że były bardzo piękne.

Kiedy przyszedł do chaty Sikory przez płot do ogrodu, stanął pod okienkiem od alkierzyka i zapukał po cichu.

Anulce właśnie się śniło, że była na owém polu zasłaném trupami, gdy ją zbudziło pukanie Karóla. Musiał jednakże jeszcze raz mocniéj zapukać, nim przyszła zupełnie do przytomności. Przestraszona zerwała się z posłania i uchyliła okienka, aby zobaczyć, ktoby tam pukał; a skoro spostrzegła Karóla przy oknie, cofnęła się zawstydzona i chciała je zaraz zamknąć. Ale Karól prosił i zaklinał na wszystko, aby

słuchała, co jéj powie, i płocha dziewczyna dała się namówić.

— Spiesz się i gadaj, co chcesz, rzekła drżąc od nocnego chłodu, mógłby się ojciec gniewać, gdyby usłyszał, że rozmawiam z tobą o nocnéj porze.

Karól snać się nie spodziewał takiego przyjęcia, bo nie mógł znaleść z początku języka w gębie i nie wiedział od czegoby zacząć.

— Nie gniewaj się Anulku, rzekł wreszcie, bo mnie bardzo serce boli, jak ty na mnie krzywo patrzysz. Nie uwierzysz, jak ja ciebie kocham, dla tego téż gdym zobaczył, żeś na mnie o to zagniewana, żem nie poszedł na wojnę z drugimi, postanowiłem iść za nimi. Nie mogłem się jednakże wstrzymać od tego, aby się nie pożegnać z tobą i nie zobaczyć cię jeszcze może raz ostatni. Chciałem cię też prosić, abyś mi ten oto szkaplerz, co go masz na piersi dała na pamiątkę. On mnie będzie strzegł od wszelkiego nieszczęścia, a może i ustrzeże od śmierci.

— Ty chcesz iść na wojnę? — To mi się nie bardzo chce wierzyć!

Tak jest Anulku — ja pójdę, wyjąknął Karól nie śmiało.

— To bardzo ładnie, ale ja ci tego szkaplerza dać nie mogę.

— A to czemu?

— Bo to nie mój szkaplerz, dostałem go od Janka.

— No! to też teraz jest twój! Zresztą ja go Jankowi nie pokażę, a skoro wrócę zaraz ci go oddam. Za to dam ci te piękne korale, którem ci umyślnie kupił na jarmarku w Żninie.

To mówiąc podał jéj piękny sznur korali, na srebrną spinkę zamknięty. Promienie księżyca, które właśnie nań padały, czyniły go dwakroć piękniejszym. Dziewczyna stała w oknie olśniona ich blaskiem i nie wiedziała co począć. Na nieszczęście właśnie dnia tego pokazywała jéj Basia od sąsiada ładne korale i mówiła, że się w nie na niedzielę ustroi, a Anulkę zazdrość pobierała, że nie będzie miała takich korali. Aż oto teraz nadarzała jéj się sposobność dostania od Karóla daleko piękniejszych jak były Basine. Dla tego też niedziw, że słabnąć poczęła na duchu. Karóla korale wywierały na nią wpływ czarodziejski; ale jednak zbierając całą siłę ducha, rzekła z westchnieniem, oddając Karólowi korale:

— Nie Karólu, nie mogę ci dać tego szkaplerza.

Ale Karól postanowił sobie nie odchodzić z niczém, i dla tego też, widząc jak się jego korale Hanusi podobały, nie odebrał ich z jéj rąk, a tymczasem zaczął prosić płaczliwym głosem:

— Hanusiu dajże mi ten szkaplerz, przecież ja ci go oddam, a patrz te korale będą twoje. Cóż ci po tym szkaplerzu, a ja ile razy spojrzę na niego, będę nabierał więcéj odwagi. A ludzie mówią, że taki szkaplerz broni od wszelkiego przypadku.

Widząc zaś, że Hanulka jeszcze się namyślała i nie wiedziała co począć, dodał po chwili:

— Ja się ztąd nie ruszę Hanusiu, póki mi go nie dasz.

W ten sposób prosił i błagał długo, stojąc uporczywie pod oknem. Bardziéj jednakże, jak słowa jego przemawiały do serca Hanusi korale. Jak owe ogniki na bagnach wabią do siebie wędrowca i wprowadzają go na topieliska, tak korale Karólowe wabiły do siebie całą duszę strojnisi. Obracała je to w tę, to w ową stronę, a nie miała siły do tego, aby je oddać Karólowi. Wreszcie zły nałóg począł przemagać nad głosem sumienia. Zawiesiła korale na szyi, przymierzając, jakby jéj téż w nich było i już teraz nie miała ochoty zwrócić je napowrót królowi, ale nagle podniosła rękę, zdjęła szkaplerz z szyji i szybko bez namysłu podała go Karólowi.

Karól porwał szkaplerz jak szatan złą duszę, i popędził z piekielnym śmiechem do domu. Hanusia tymczasem zamknęła okienko, schowała korale i położyła się na łóżko.

Małgosia przysłuchiwała się téj całéj roz-

mowie i bolała nad siostrą, która dała się skusić błyskotką do tak złego uczynku.

— Cóżeś to najgorszego zrobiła Hanusiu! godziłoż się to dawać ten szkaplerz Karólowi?

— Cóż z tego, żem mu go dała, przecież obiecał, że mi go odda jak wróci, więc Janek nie będzie wiedział wcale o tém, a korale co mam — to mam.

— Jednak to bardzo nie ładnie moja Hanusiu. Już się na mnie nie gniewaj, ale żeby ojciec o tém wiedział, toby się pewnie bardzo gniewał na ciebie.

Żachnęła się Hanusia niecierpliwie, i nie odpowiedziała ani słowa, chcąc przerwać przykrą sobie rozmowę.

W téj chwili słychać było turkot wozu przejeżdżającego koło ich chaty. Hanusia wyjrzała oknem i mocno jéj się zdawało, że widziała Karóla na wozie. Nie wierzyła jednak własnym oczom i wmówiła w siebie, że to tylko było przywidzenie. Jednakże położywszy się napowrót, długo nie mogła usnąć, bo sumienie wyrzucało jéj niegodny postępek ze szkaplerzem; a słowa siostry brzęczały jéj, jak roje much koło uszu. Nad ranem obudziła ją Małgosia słowy:

— Hanusiu wstawaj! patrz wojsko nasze przechodzi!

Cała wieś wybiegła na drogę i każdy co miał wynosił z domu na posilenie dla braci wo-

jaków. Stary Siermięga uściskał Janka w mundurze i zrobił krzyż w powietrzu za nim, kiedy już przeszedł z drugimi.

II.

Karól dostawszy szkaplerz od Hanusi, popędził do domu, zaprzągł szybko konie i pognał do Inowrocławia. Nie myliła się więc Hanusia, kiedy jéj się zdawało, że widziała go przejeżdżającego na wozie koło ich chaty.

Nad ranem zajechał do miasta, wyprzągł konie w najbliższéj oberzy, założył im siana i poszedł do komendanta wojska pruskiego. Za nim o kilka kroków szedł milczkiem garbaty Frącek.

Garbaty przekonawszy się bowiem, że na żołnierza nie stworzony i usłuchawszy dobréj rady naszych ochotników z Oporowa, wrócił do wsi, przemyśliwając, jakby na inny sposób na coś się przydać.

— Jużcić nie będę siedział, jak baba za piecem, podczas gdy oni tam pocić i marnować się będą, pomyślał sobie i jeszcze téj nocy poszedł do Inowrocławia i zabawił tam przez cały dzień i przez noc następną. W Oporowie myśleli wszyscy, że Frącek poszedł z drugimi do wojska i wszyscy śmiali się z tego; ale Frącek wiedział, na co się doskonale przydać.

Postanowił bowiem wyszpiegować w Ino-

wrocławiu, ile tam było wojska, ile mieli armat, i powiedzieć to wszystko naszym dowódzcom. A jest to bardzo ważną rzeczą dla dowódzcy wiedzieć jakie nieprzyjaciel ma siły, nim do bitwy przyjdzie. Frącek więc wziął się dobrze do roboty, aby się przydać na coś.

Zaszedł do Inowrocławia jeszcze przed południem i przepatrywał wszystkie kąty. Tego dnia była właśnie parada wojskowa. Zebrało się więc wszystko wojsko, a że Frącek był wprawny w przerachowywaniu gromady owiec, więc téż mógł sobie mniéj więcéj zmiarkować, ile tam wszystkich żołnierzy było. Pod wieczór zabierał się do domu z powrotem, ale nie wypuszczano o szaréj godzinie nikogo z miasta, chyba, że miał pozwolenie od dowódzcy. Musiał więc się przez noc zatrzymać i przenocował właśnie w téj stajni, do któréj rano Karól zajechał. Nazajutrz zamyślał puścić się w drogę, gdy w tém spostrzegł zajeżdżającego Karóla na próżnym wozie. Próżny wóz o jednêm siedzeniu i mina Karóla podpadły garbatemu pod oczy i dla tego schowawszy się gdzieś w kącie, patrzał dokąd pójdzie.

Karól wyprzągłszy konie, zapytał się jakiegoś żołnierza, gdzie mieszka ich komendant i poszedł do wskazanego domu. Frącek usłyszał nazwisko „Szekeli,“ a wiedział, że to dowódzca; więc téż zaciekawiony têm bardziéj, szedł

za Karolem z daleka, a gdy wszedł do Szekelego, czekał przemyślny garbus cierpliwie tak długo, aż wyszedł. Trwało to dosyć długo, przez ten czas więc, żeby się nie nudzić, przeracho-wywał sobie jeszcze raz armaty, które tam były rzędem poustawiane.

Wreszcie wyszedł Karól, obejrzał się w koło z obawą i szybko ruszył ku oberzy, gdzie stały jego konie i skoro tylko wyjadły obrok, zabierał się zaraz do wyjazdu.

— Nie mógłbyś mnie zabrać mój Karólku? zagadnął go garbaty z nienacka przy zaprzęganiu.

Karól zląkł się i zadrzał cały, usłyszawszy zapytanie i zatrwożony, obejrzał się po za siebie. Ujrzawszy Frącka, ochłonął cokolwiek z strachu.

— A ty po coś tu przyszedł Frącku?

— Miałem kilka skórek do sprzedania, odpowiedział garbaty z miną całkiém niewinną. Szedłem całą noc, więc byś mi wielką wyświadczył przysługę, gdybyś mnie zabrał.

Karól dał się wywieść w pole, a że mu się nudziło jechać samemu, więc chętnie zabrał garbusa ze sobą. Kiedy zajechali do Łabiszyna, zastali tam już wojsko nasze. Frącek zlazł zaraz w mieście z woza, a dziękując za zabranie zapytał z uśmiechem:

— A rychło przybędziesz do nas Karólu?

— Niezadługo, zostawię tylko konie w domu i zaraz wrócę.

Powiadał bowiem Karól po drodze, że przystanie do Polaków, a Frącek udawał, że mu wszystko wierzy; w duchu jednakże myślał sobie: znam ja cię ptaszku, coś ty za jeden, już ja ciebie przytrzymam. Zlazłszy z woza, gdy Karóla już widać nie było, puścił się pomiędzy wojsko, aby odszukać Janka i poradzić go się, jak sobie począć. Wnet jednak się przekonał, że to nie była tak łatwa sprawa.

Wojsko nasze rozłożyło się na łąkach, po obydwóch brzegach Noteci, na polach i w mieście. Byłby więc Frącek wiele czasu stracił, nimby Janka był znalazł. Pierwszego tedy zaraz żołnierza poprosił grzecznie, aby go zaprowadził do dowódzcy. Wojak wejrzał zdziwiony, zapytał:

— A czy ty masz ważną jaką sprawę bracie? bo jeśli nie, to z lada czém tam się nie chodzi do dowódzcy.

Frącek zapewniał, że to jest bardzo ważna sprawa i że jéj nikomu innemu powiedzieć nie może. Zaprowadził go tedy ów żołnierz przed starszyznę, czyli sztab wojska.

Kiedy Frącek wszedł do izby, gdzie wszyscy starsi byli zgromadzeni, pokłonił się wszystkim do koła i pochwalił Pana Boga.

— Na wieki wieków Amen, odpowiedział sam jenerał Dąbrowski, cóż to powiesz chłopcze?

Frącek jął tedy opowiadać, jak go parobcy zabrać z sobą nie chcieli i że on tedy poszedł do Inowrocławia zobaczyć, ile tam jest Prusaków, aby potém to wszystko panom jenerałom powiedzieć.

Zaczął go tedy Dąbrowski wypytywać o wszystko, a Frącek odpowiadał, jak mógł najlepiéj; a musiał się tam dobrze wszystkiemu przyjrzeć, bo bardzo byli wszyscy zadowolnieni z jego odpowiedzi. Na środku izby stał wielki stół z papierami różnemi, a przy nim siedział jeden starszy i ten wszystko zapisywał, co Frącek powiedział. Nie musiało to tam więc być lada co, co Frącek powiadał.

W końcu zapytał go Dąbrowski:

— A jakże się ty nazywasz bracie?

— Frącek Marchwiak, proszę Pana Jenerała.

— Wielkąś nam wyświadczył przysługę i należy ci się za to stósowna nagroda, przyjdź tu więc jeszcze raz za godzinę; a teraz można iść.

Ale Frącek skrobiąc się po głowie, stał przy drzwiach i nie zabierał się do wyjścia. Spostrzegłszy to Dąbrowski zapytał go:

— Czy masz jeszcze co do powiedzenia? Mówże śmiało Frącku! Garbaty ukłonił się nisko.

— Ja bo, z przeproszeniem pana jenerała, nie potom biegał do Inowrocławia, aby dostać za to nagrodę, tylkom téż chciał się przydać na coś, kiedy się nie mogę bić razem z dru-

gimi. Ale wiem jeszcze coś, czegom nie powiedział dotąd, bo się panowie nie pytali. Dzisiaj rano był w Inowrocławiu Karól Szpek z naszéj wsi, u najstarszego dowódzcy, który mieszka przy rynku, i bardzo długo bawił u niego. Kiedy jechał z powrotem, zabrał mnie z sobą i powiadał mi, że przystanie téż do nas. Ale mnie się zdaje, proszę pana jenerała, że on tu tylko po to przyjdzie, po co ja byłem w Inowrocławiu. Więc tak sobie myślę z przeproszeniem panów, żeby to było dobrze wcale go nie wypuszczać ztąd, jak tu przyjdzie.

— Bardzoś dobrze zrobił, mój Frącku, odpowiedział jenerał Dąbrowski, żeś i to nam powiedział. Jednakowoż tu pewnie nikt nie zna tego Szpeka, a ty widzę masz głowę nie napróżno na karku; więc miéj ty na niego oko, a jak będzie chciał wychodzić z obozu, każ go natychmiast przytrzymać. Pamiętaj tylko, pilnuj go dobrze, bo on by ich mógł nam tu prędzéj przyprowadzić, jakbyśmy sobie tego życzyli.

Frącek pokłonił się i wyszedł uradowany

Rozdział V.

Zdobycie klasztoru Łabiszyńskiego.

Tymczasem minęło południe.

W Łabiszyńskim klasztorze zamknęła się pruska załoga, trzeba więc ją było jeszcze za dnia wypędzić. Dąbrowski polecił przeto jen. Madalińskiemu, aby to jak najrychléj uskutecznił.

Nie była to jednak tak łatwa sprawa.

Klasztór Łabiszyński stoi na dosyć wysokiém wzgórzu i otoczony jest wysokim, a dosyć mocnym murem. Kościół z dwoma skrzydłami klasztoru tworzy jakoby odwróconą literę E. W koło skrzydeł klasztoru jest wielki ogród i dziedziniec klasztorny, otoczony dokoła murem. Przed kościołem zaś jest mały cmentarz, oddzielony od ogrodu i dziedzińca wysokim murem tak, że tworzy mały czworobok, w którego środku wznosi się figura ś. Jana Nepomucena. Na tymto cmentarzyku czworobocznym,

przed kościołem stała załoga pruska, gotując się do odparcia napadu naszych żołnierzy.

Madaliński, nie chcąc armatami niszczyć kościoła, uszykował swoich i kazał im do szturmu uderzyć. Zanim jednakże zdążyli podejść pod górę, zmusił ich rzęsisty ogień karabinowy do odwrotu. Gotowano się więc do powtórnego szturmu, gdy w tém nadbiega garbaty Frącek i prosi dowódzcy, aby kazał iść kilku żołnierzom za nim.

— A to po co? zapytał jen. Madaliński.

— Panie jenerale odpowiedział Frącek, wiem o drzwiach których Prusacy nie pilnują, a tam tędy można się dostać na podwórze klasztorne.

Madaliński przypomniał sobie Frącka, wiedział więc, że można jego przebiegłości zaufać. Dla tego też wysłał z nim trzydziestu żołnierzy, a tymczasem począł szykować swoich. Przekonał się bowiem, że należało mu w jednę stronę strzelać.

Kompania kosynierów, w którėj nasi ochotnicy z Oporowa się znajdowali, miała rozkaz uderzyć na bramę; prawą stroną mieli strzelcy dostać się na mury za pomocą drabinek, które mieli z sobą.

Na głos bębnów puścili się więc z obydwóch stron z ogromnym krzykiem pod górę.

Kosynierzy dobiegli do bramy, choć jaki taki jęknął po drodze o ziemię, i wnet też za-

trzęsła się brama pod silnemi razami ich siekier i toporków. Prusacy stali za bramą gotowi na ich przyjęcie. Z drugiéj zaś strony, pięły się nasze strzelcy pod górę i na mury, i tutaj wrzała walka tak dalece zacięta, że nawet musiał Madaliński rozkazać kilka razy z armat wystrzelić.

Tymczasem Frącek wysadził z swymi żołnierzami drzwiczki w murze, okalającym ogród, i niepostrzeżony przez nikogo, wprowadził ich tyłem przez ogród na podwórze.

Stali tutaj, jak wiemy Prusacy, oczekując z bagnetami tych, którzy bramę wysadzali. Skoro ich tedy spostrzegli nasi, wsiedli im zaraz na kark i rozpoczęła się bójka zacięta.

W téj chwili runęła brama, wywalona przez kosynierów, i Frącek ujrzał Janka pierwszego, skaczącego po niéj na podwórze.

Dwóch Prusaków przyskoczyło do niego z bagnetami.

Janek cofnął się o trzy kroki i zwalił jednego kosą po żebrach tak, że już nie wstał więcéj, ale, nim zdążył drugi raz się zamierzyć, doskoczył drugi i już ostrym żelezcem godził w pierś Janka — gdy w tém doskoczył Frącek garbaty, i niemając innéj broni, tak go zwalił między ślepie swoim sękatym kijem, że aż się potoczył. W téj chwili błysnął Janek kosą i Niemiec padł nieżywy na ziemię.

Z reszty Prusaków dwóch tylko umknąć zdołało, reszta zaległa dziedziniec klasztorny.

Teraz dopiero poskoczył Janek do garbusa i obadwaj uściskali się serdecznie, jak bracia. Nie było jednak można tracić czasu, bo na cmentarzu jeszcze się Prusacy trzymali.

Poczęli się więc nasi wzdrapywać przez mur z dziedzińca na cmentarz, a niektórzy z tych, których Frącek przyprowadził, weszli do klasztoru, a ztąd do kościoła na chór. Tutaj otworzyli okno i poczęli prażyć z góry Prusaków. Ze wszech stron więc zaglądała biedakom śmierć w oczy.

Musieli się przeto w ostatniéj biedzie schronić do kościoła i tutaj ich dowódzca Beyer kazał broń złożyć. Darowano im tedy życie, ale wzięto wszystkich do niewoli.

W każdym wojsku jest zwyczaj, że pod koniec dnia czytają nowe rozkazy na dzień następny. Jeśli w dniu jakim była bitwa, wtedy czytają zwykle imiona tych, którzy się męztwem i odwagą odznaczyli. Nie mały też to zaszczyt dla tego, czyje nazwisko w obec całego wojska wyczytają.

Łatwo więc sobie wystawić zadziwienie wszystkich, kiedy dnia tego przeczytano między innemi, także imię Jana Siermięgi i Frącka Marchwiaka, z pochwałą za odznaczenie się w bitwie przy zdobywaniu klasztoru.

Rozdział VI.

Frącek poluje na Karóla.

I.

Garbaty zobaczywszy, że z Prusakami już było krucho, pobiegł, pomny na swój obowiązek, popatrzeć, czyby Karól jeszcze nie przyszedł. Zobaczył go też wkrótce uwijającego się pomiędzy działami i magazynami, i przeglądającego to wszystko z największą uwagą. Baczył tedy na każdy krok jego i patrzał na niego uważnie z daleka.

Tymczasem Janek szukał naszego garbusa po całym obozie, aby mu jeszcze raz podziękować za ocalenie życia. Znalazł go wreszcie po długiém szukaniu, a za nim nadeszła reszta wiary z Oporowa. Wszczęła się tedy żywa rozmowa. Każdy miał coś do opowiadania: ten, jak mu kulki koło głowy świstały, ów, jakiego

strachu użył, i gdy tak się zagadali, zapomniał garbaty całkiém o Karólu.

Naglc przypomniał mu się jego obowiązek, obejrzał się więc w tę stronę, gdzie na końcu Karóla był widział, ale niestety! już go tam nie było. Skoczył więc jak oparzony i nie rzekłszy słowa, biegł naprzód, aby go odszukać.

Janek i drudzy myśleli, że garbus chyba oszalał nagle, wołali więc za nim po co i gdzie leci; ale Frącek pędził naprzód, i podpierając się swym sękatym kijem, nieobracał się wcale. Zdumieni stali jeszcze chwilę, a potém odeszli do swéj kompanii, bo trzeba im jeszcze było wytoczyć stępione na klasztornéj bramie toporki i wyklepać kosy.

Tymczasem Frącek szukał wszędzie po obozie Karóla, ale go nigdzie znaleść nie mógł. Bo ten, jak to mówią, nie w ciemię bity, zmiarkowawszy, że jego garbus śledził, skorzystał z chwili, kiedy się tenże z Jankiem zagadał i umknął cichaczem z obozu. Skoro spostrzegł, że garbaty nie obraca się wcale, rozśmiał się na całe gardło i puścił się z powrotem do Inowrocławia.

W najbliższéj wsi poszedł do wójta i pokazał mu pismo od Szekelego, gdzie stało napisane, że każda władza jest zobowiązaną dać podwodę okazicielowi tego pisma. Dla tego téż, skoro wójt to przeczytał, zaraz mu się o pod-

wodę wystarał. Gdy wsiadał na wóz, zdawało mu się, że widział Frącka pod borem, a nie dowierzając własnym oczom, kazał innym patrzeć, czy nie zobaczą kogo, ale nikt nic nie widział. Uspokojony tém nieco, kazał ruszyć z kopyta.

Ujechawszy milę czwałem, dostał znów koni w ten sam sposób, a jadąc tak rozstawnemi końmi, zajechał w półtrzeciéj godziny do Inowrocławia. Skoro tylko w mieście stanął, pospieszył do Szekelego i opowiedział wszystko, co widział, a w końcu dodał: że Polacy będą twardo spali, bo wojsko znużone marszem, a nadto jedna część zdobywała klasztor.

Szekeli zacierał ręce z radości i wydał rozkaz niezwłocznie, aby wojsko gotowe było do pochodu. Umyślił bowiem zajść po północy do Łabiszyna, aby zastać naszych pogrążonych w najgłębszym śnie.

Tymczasem garbaty Frącek szukał Karóla, biegając po obozie w tę i w ową stronę, ale go nigdzie nie mógł znaleść. Wreszcie poszedł po rozum do głowy! jeśli go tu nie ma, pomyślał sobie, toć już pewnie poszedł do Inowrocławia. Tą téż myślą wiedziony, pobiegł w tamtę stronę.

Gdy dochodził do najbliższéj wsi, w któréj to Karól dostał koni, zobaczył jak właśnie siadał na wóz.

— Poczekaj ty gałganie! mruknął przez

zaciśnięte zęby i chciał kijem pogrozić, gdy w tém spostrzegł, że Karól spojrzał w tę stronę. W oka mgnieniu rzucił się więc na ziemię i dla tego téż to właśnie nie mógł go Karól dobrze zobaczyć, chociaż mu postać jego mignęła przed oczami. Po dobréj chwili dopiero, kiedy już Karóla z wozem widać nie było powstał garbaty i wracał szybko napowrót, wywijając kijem i spluwając co chwilę ze złości.

Zmęczony wrócił do Łabiszyna i zażądał natychmiast, aby go wpuszczono do sztabu.

— Czego to sobie życzysz Frącku? zapytał go jenerał Dąbrowski, cóż ci się stało takiego?

— Źle, proszę Pana Jenerała, odpowiedział Frącek, uciekł mi Szpek, któregom to miał pilnować. Pognałem za nim ku Inowrocławiowi i widziałem tyle, że siadał na wóz przed chatą wójta w najbliższéj wsi.

— A! toś mi się nie spisał! Czemużeś nie kazał konnym go gonić?

— Bo nie wiedziałem proszę Pana Jenerała, dokąd poszedł, a teraz już go gonić za późno, bo pędził czwałem na swym wózku.

Między starszyzną wszczął się gwar, a Frącek pokłoniwszy się wyszedł, zły sam na siebie.

Nie ulegało już teraz wątpliwości, że jeszcze téj nocy należało się spodziewać napadu,

dla tego też wnet wydał Dąbrowski stósowne rozkazy i poczynił potrzebne przygotowania.

Od strony Inowrocławia jest za Łabiszynem wzgórek, zwany dotąd górą Szekelego. Jeśliby na tém wzgórzu ustawił kto armaty, mógłby w krótkim czasie cały klasztor i kościół w gruzy zamienić. Dąbrowski poznał, że gdyby się Szekelemu udało tę górę zająć, musieliby nasi z Łabiszyna uciekać, boby ich żadna kula nie minęła. Wydał więc rozkaz majorowi Duczymińskiemu, aby zajął tę górę z jednym batalionem piechoty, wojsku zaś całemu kazał snem się pokrzepić i do bitwy się gotować.

Tymczasem Frącek, wyszedłszy ze sztabu chodził zamyślony i zły sam na siebie. Na cóż się przydały jego wszystkie usługi, kiedy pozwolił umknąć Karólowi, który uciekł na to, aby sprowadzić nieprzyjaciół! Dla tego też mruczał garbaty przez zęby: — czekaj ptaszku, ja cię jednak złapię, chociażeś mi teraz tak szczęśliwie się wymknął. I wywijając swym sękatym kijem a spluwając co chwilę, poszedł na miasto i kupił sobie świeżéj tabaki i trochę kołacza. Potém odszukał kompanią, w któréj był Janek i rozłożył się przy nim na stronie.

— Czemuś ty tak nagle uciekł od nas, zapytał go Janek, myśleliśmy, żeś zwaryował, albo co.

— Słyszałem jakeście wołali za mną, i chę-

tnie byłbym się chciał wrócić pogadać z wami jeszcze, ale musiałem biedz tam, gdzie mnie obowiązek wołał. I poprawiwszy się na słomie, opowiedział wszystkie swoje przygody z Karólem.

— A czemużeś ty nam tego zaraz nie powiedział, mówił Janek, bylibyśmy go zaraz przytrzymali, a teraz kto wie, jakiego nam piwa naważy.

— Patrzcie go, jaki mi gorąco kąpany, przerwał Frącek, a za cobyś ty go był chciał przytrzymywać? Przecież za to, że był w domu, gdzie mieszka Szekeli nie można go było przytrzymywać; wtedy dopiero można go było łapać, kiedy uciekał z obozu.

— Jakiś ty mądry Frąsiu! odpowiedział Janek. Już to rozumu możnaby uczyć się od ciebie; ale gdzie się ty zabierasz, prześpij się tu lepiéj z nami.

— Nie Janku, muszę jeszcze pooprowadzać naszych po wszystkich kniejach, którędy Karól ich przyprowadzić może, a słońce już nisko. Spać nie będzie mi się chciało, bo mam świeżą tabakę.

— Mnie się zdaje Frąsiu, że on ich na Jeżewo przyprowadzi, bo tamtędy prowadzi najszersza droga.

— Ja téż tak myślę i dla tego sam tam będę czekał na niego z naszymi. Bo powiadam

ci Janku, że ja go muszę złapać jeszcze dzisiaj, a jutro musi wisieć na suchéj gałęzi.

— Człowieku! zawołał Janek, zkąd tobie się wzięła taka zawziętość na niego?

— Co? zawziętość? zawrzeszczał Frącek, zawziętość — mówisz? Nie mamże się gniewać na tego łotra, dla którego tyle krwi naszéj dzisiaj w nocy popłynie? Niech wisi na naukę dla innych! — Kazano mi go pilnować, bo sądzono, że będę miał na to dosyć rozumu, ale pokazało się, że Frącek głupi, że Frącek do niczego. Ale! Bóg go ukarze za mój wstyd, a raczéj za was, z których może niejeden dziś w nocy padnie! Jestem pewien, że go w moje ręce dzisiaj jeszcze dostanę.

Gdy to mówił, łzy miał w oczach, a ściskając Janka dodał:

— Niech cię Bóg i Matka Najświętsza ma w swojéj opiece i strzeże od wszelkiego nieszczęścia.

Pożegnał się potém z drugimi chłopcami z Oporowa, i poszedł znowu do sztabu. Straż już go znała i dla tego zaraz go wpuszczono.

W owych czasach były za Łabiszynem, od strony Inowrocławia wielkie bory. Przez nie prowadziły różne ścieżki i drożyny, trudno więc było odgadnąć, którą drogą przyjdą Prusacy. Kiedy też Frącek stanął przed starszyzną i po-

wiedział, że zna wszystkie drogi, przęjęto bardzo chętnie jego usługi.

Wkrótce potém wyjeżdżał z miasta oddział konnych, prowadzony przez oficera na zwiady. Przed nimi jechał Frącek na koniu, trącając go sękatym swoim kijem do prędszego biegu. Kiedy wjechali w bór pokazywał miejsca, którędyby przechodzić mogli Prusacy, a na każdém takiém miejscu zostało po kilku konnych. Na drodze wiodącéj do Jeżewa, został Frącek razem z żołnierzami.

— Jedźże do domu Frącku, bo ci tu może być gorąco, jak nadjadą Prusacy, namawiali go żołnierze.

— Jeśli będzie gorąco, odpowiedział Frącek, to pewnie nie mnie samemu, a mam zresztą ważny powód, dla którego chcę tu pozostać.

II.

Tymczasem już się ściemniło i północ zbliżać się poczęła.

W obozie polskim pogasły powoli ogniska, które się dotąd na długiéj linii paliły. Żołnierze nasi stali już w szeregach. Tu i ówdzie zabrząkł czasem karabin lub pałasz, albo zadźwięczała kosa, ale nikt słowa nie przemówił, tylko chyba tu i owdzie słychać było szept cicho odmawianéj modlitwy.

Dziwne zaiste uczucie ogarnia serca przed bitwą, zwłaszcza jeśli ona ma być w nocy stoczoną! Kto przez całe życie nic mówił pacierza, ten pewnie go sobie wtedy przypomniał. Każdemu przychodziła na myśl ojczysta zagroda, chatka rodzinna, ojciec, matka i siostry spłakane, których może nie miał już więcéj oglądać. Może dziś miał stanąć po raz ostatni do boju, a może czekało go dziś kalectwo, gorsze nad śmierć, a może i niewola gorsza nad śmierć i kalectwo nawet.

Więc téż ponury obraz przedstawiał obóz polski. Księżyc wychylał się tylko czasami z po za chmury i oświecał blade twarze wojowników, którzy milcząc, stali w zbitych szeregach, oparci to na kosach, to na karabinach.

Zbliżyła się wreszcie północ.

Frącek, który stał na owém stanowisku, zdala od obozu, zszedł teraz z konia i położył się na ziemię. Chwilę poleżał nieruchomy. Nagle zerwał się z ziemi i wyszeptał z bijącém sercem:

— Idą tutędy! i wskrabał się szybko na konia.

Nasi żołnierze stali w milczeniu. Każdy poprawił się na siodle, obejrzał raz jeszcze pistolety i czekał spokojnie, dobywszy pałasza. Po chwili słychać już było wyraźny tentent ko-

pyt końskich. Nasi puścili się stępo naprzód. Frącek jechał na przodzie.

— Idźże w tył gapiu, bo cię zabiją, syknął któryś na niego, ale Frącek nie słuchał wcale.

Teraz rozróżnić już można było postacie. Nasi przystanęli.

— Stój! kto jedzie? krzyknął gromowym głosem oficer.

Za odpowiedź padł strzał z pistoletu. Nasi odpowiedzieli kilku strzałami i czwałem puścili się naprzód. Ale przed nimi nie jechał już Frącek.

Pierwszy strzał trafił jego konia, a z koniem runął i on na ziemię. Miał jednak tyle przytomności, że w téj chwili stoczył się z drogi w rów, który był na szczęście blizko. Inaczéj byliby go nasi końmi roztratowali. Skoro go zaś tylko minęli, zerwał się na równe nogi i puścił się pędem za nimi. Ubiegłszy kilkanaście kroków, usłyszał na ziemi ciężkie stękanie. Poskoczył w tę stronę i nachylił się ku ziemi. I któż opisze jego zdziwienie, kiedy zobaczył pod zabitym koniem leżącego Karóla!

Karól jechał także na przodzie, bo pokazywał drogę. Nasi ubili mu pierwszemi strzałami konia, — a spadł tak nieszczęśliwie, że nie mógł się z pod niego wydobyć. Co gorsza, nadwerężył sobie przytém nogę.

— A! dobry wieczór! czemu to tak późno

dopiero do nas przyjeżdżasz, aby wstąpić do kosynierów? A czemuś to tak uciekał na tym wózku z przed wójta? Wołałem na ciebie, aleś ty nie słuchał. Jam to sobie zaraz myślał, że ty pewnie jeszcze dzisiaj do nas wrócisz! Ale tą razą już mi nie ucieczesz bratku, mędrzejszy teraz Frącek po szkodzie.

To mówiąc, zdjął koniowi uzdeczkę, skrępował Karólowi nią ręce i wywlókł go z pod konia.

Karól nie odpowiadał ani słowa. Uciec nie mógł, bo go bolała noga, a ręce miał silnie na plecach skrępowane.

W téj chwili wracali nasi czwałem.

— Bracia! zawołał Frącek, zabierzcie mnie z sobą!

— Ktoś ty? zapytał go któryś.

— To ja Frącek, złapałem szpiega, co Prusaków sprowadził.

— Podaj mi go tu na konia, zawołał najbliższy, a spiesz się, bo gonią za nami.

Frącek podsadził mu Karola, sam wzdrapał się drugiemu na konia za siodło, i daléj puszczono się czwałem. Za nimi warczały kopyta konnicy pruskiéj, a kulki świstały im po nad głowami.

Za konnicą biegła podwójnym krokiem piechota. Zmierzali prosto ku górze Szekelego, o któréj Dąbrowski na szczęście za wczasu pomyślał. Jak wiemy, czekał tam na nich major Duczymiński z swymi strzelcami.

Rozdział VII.

Bitwa.

Od muru klasztornego ciągnie się dwa tysiące kroków równe pole. Potém wznosi się stromo góra Szekelego, a spuszcza się pochyło ku Jeżewu. Z jéj wierzchu, pokrytego sosnowym lasem, możnaby daleko sięgnąć okiem na okolicę, gdyby bory nie zamykały widnokręgu. Ala za to tem piękniejszy jest ztąd widok na Łabiszyn.

Rozłożył się on w dole, a małe jego domki wyglądają jak klatki czerwone. Wśród nich piętrzy się poważnie kopuła dawniejszego kościoła farnego. Dziś leży on już wprawdzie w gruzach, ale kopuła przetrwała wiekowe burze i sterczy ku niebu, jakoby wołając o pomstę na ludzi, którzy pozwalają tak ginąć przybytkowi pańskiemu.

Na lewo wznosi się kościół Łabiszyński z klasztorem, a ponieważ stoi na wzgórzu, zdaje

się, gdy się nań patrzy z góry Szekelego, jakoby był o jakie tysiąc kroków bliżéj, jak miasto.

Prawdziwie uroczy krajobraz przedstawia się ztąd oku, zwłaszcza, że w koło miasta zielenią się obszerne łąki, nad brzegami krętych wód Noteci, ujęte w wieniec sosnowych lasów.

U stóp téj to góry rozpoczęła się owéj nocy mordercza bitwa.

Batalion piechoty majora Duczymińskiego, który stał na górze, stanowił lewe skrzydło polskiego wojska. Widząc Szekeli, że go Polacy uprzedzili, i że już byli w linii bojowéj ustawieni, chciał na wszelki sposób dostać się na górę. Dla tego skierował na nią wszystkie swoje działa i rozpoczął na nią piekielny ogień.

Ziemia zadrzała od huku armat. Spłoszone ptastwo z wrzaskiem zrywało się z gniazd swoich i wzlatywało ponad borem, w którym echo pomnażało jeszcze grzmoty wystrzałów.

Nasi odpowiadali rzęsistym ogniem karabinowym, a na szczęście kule armat pruskich, przenosiły górą. Wnet téż poznał Szekeli, że w ten sposób wzgórza nie dobędzie, skierował więc swoje działa na klasztor i na miasto, a prawemu skrzydłu swojemu kazał się naprzód posunąć. Piechota pruska podeszła wskutek tego rozkazu na trzydzieści kroków i rozpoczęła mor-

derczy ogień. Gdyby nie ciemność nocy, byłaby na tak blizką przestrzeń każda kula mogła trafiać; a przytém zawszeć to jest trudniéj trafić strzelając pod górę, jak z góry. Dla tego też stali nasi śmiało i nie myśleli o cofaniu.

Tymczasem rozwinął Szekeli środek i lewe skrzydło swoje.

Jest bowiem przy bitwach tak samo, jakby nieprzymierzając, dwa wielkie ptaki na siebie uderzały. Najbardziéj uderzają się piersiami i dziobami, a biją się nawzajem skrzydłami. Wtedy więc prawe skrzydło jednego uderza o lewe drugiego, a jego lewe skrzydło bije w prawe tamtego. Stósownie do tego, broniło lewe skrzydło naszego wojska góry i biło się z prawem Szekelego, a zaś prawe nasze wyciągnięte było w polu, na prawo od góry, i miało przed sobą lewe skrzydło wojska pruskiego. Pomiędzy obydwoma skrzydłami stały naprzeciw sobie środki wojska, które się zowią po wojskowemu: centrum.

Niezadługo téż rozpoczęła się bitwa na całéj linii.

Brygada Dąbrowskiego, która stała na prawém skrzydle, przypuściła szarżę, czyli, mówiąc po naszemu, natarła na konnicę pruską.

Silne było natarcie. Z dobytemi pałaszami nad głową, z okrzykiem „Jezus! Marya!“ ruszyli nasi naprzód, i niewyszło pięciu minut, a już

rozbili cały oddział jazdy nieprzyjacielskiéj. Ale Szekeli przewidział to dobrze, i dla tego w téjże chwili natarł na naszych świeżym oddziałem husarów, a przed jego przemocą musieli się cofnąć i schronić za piechotę, która powstrzymała huzarów w zapędzie.

Tymczasem nie ustawał ogień na całéj linii. Na środku stały trzy kompanie trzynastego regimentu Miechowskiego, i te cierpiały przez ten czas najwięcéj; Szekeli bowiem skierował swoje działa na środek naszego wojska i miotał kartaczami śmierć w jego szeregi Ale nasi stali wytrwale i nie zachwiali się ani na chwilę, wstrzymując Prusaków od miasta.

Widząc to Dąbrowski, wzmocnił środek dwoma kompaniami, a na prawe skrzydło, za które to nasza konnica się cofnęła, wysłał kompanią majora Jarzembkowskiego. Na górze ustawił działa i wydał rozkaz na całą linią: „na bagnety.“

Rozkaz rozległ się po kompaniach, a w téjże chwili zagrały téż nasze działa z góry. Z radosnym okrzykiem „Hurra! Jezus! Marya!“ rzuciło się sześć kompanii na nieprzyjaciela. Za chwilę zawrzała zacięta walka. Szczęk i zgrzyt żelaza, łomot, hałas, huk dział, jęki konających, rozkazy dowódzców, wołania o pomoc, wrzaski zlały się na jednę straszną, okropną, przeraża-

jącą wrzawę, która się unosiła złowrogo po nad polem bitwy. Ciemności nocy, oświetlone tylko od czasu do czasu połyskiem wystrzału i słabem światłem księżyca, dodawały jeszcze większéj zgrozy i okropności temu, co się teraz działo.

Nasi kosynierzy nie dali czekać na siebie.

Major Jarzembkowski, otrzymawszy rozkaz uderzenia na bagnety, zakomenderował grzmiącym głosem: „Lewa noga naprzód! do ataku! marsz! marsz!“ a nasze wiarusy puściły się wskok naprzód. Wnet świadczyły jęki w téj stronie, że ostre były ich kosy.

Janek jak wszędy tak i tu przodował. Ile razy zarzucił kosą w tłum nieprzyjaciół i szarpnął ją ku sobie, z pewnością ściągnął hakiem którego huzara z konia; a jak się rozmachał, ledwie mogło za nim zdążyć reszta wiary z Oporowa.

Takiego natarcia snać nie spodziewali się Prusacy, bo wnet zaczęli się cofać, a szczególnie na końcu lewego skrzydła, na które nasi kosynierzy wściekle nacierali. Ale Szekeli nie po to przyszedł, aby się cofnąć tak prędko i wrócić ze wstydem, ratując się więc od przegranéj, skierował część armat swoich na prawe skrzydło wojska polskiego, a część swego prawego skrzydła, które dotąd dobywała bezskutecznie góry, przerzucił na swoje lewe skrzydło,

bo to już na dobre cofać się poczęło przed naszymi kosynierami.

Kiedy kula przelatuje koło głowy, gwiżdże, albo świszczy przeraźliwie, a kiedy roje takich kulek przelatują koło głowy, sprawują muzykę, od której tańczyć jeszcze się nikomu nie zachciało. Kula armatnia, przelatując z daleka, robi szum, od którego nieraz kilka dni, a nawet kilka tygodni w uszach szumi i dzwoni. Kulka z karabinu może zabić od razu, lecz kula armatnia może nie jednego, ale kilku zabić na raz, ba! nawet, jeśli zbyt blisko koło człowieka przeleci, może go już tém samém zabić.

Nie dziw więc, że kiedy się posypały kartacze na naszych, jakby kto garściami groch rzucał, zatrzymali się wszyscy na chwilę. Jaki taki padł na ziemię nie wydawszy i jęku nawet, a stojący obok nie miał czasu nachylić się do niego, aby go zapytać o ostatnią wolę. Przykre to uczucie zaiste! widzieć jak ten, który stał zdrów przed chwilą, pada nieżywy na ziemię.

I piekielnyż to wymysł te kartacze!

Kiedy nabijają armatę, wsadzą paczkę prochu i przybiją, a na to wsadzą worek, albo blaszanne, długie pudełko z kulkami. Kiedy więc przy wystrzale proch worek rozsadzi, rozlatują się kulki szeroko, niosąc śmierć ze sobą.

Nawet Jankowi, który tak śmiało szedł naprzód, zrobiło się na chwilę mięko koło serca. Za nim, przed nim i w koło niego, rozlegały się jęki rannych i konających, a kartacze brzęczały mu koło głowy, jakby go rój pszczół opadł. Zatrzymał się więc i obejrzał po za siebie. W téj chwili spadał z konia major Jarzembkowski. Janek chciał mu poskoczyć na pomoc, ale inni którzy bliżsi byli, wzięli go na kosy i odnieśli ku miastu, gdzie byli lekarze. A tymczasem najstarszy oficer, który objął po nim dowództwo, zakomenderował:

Daléj wiara! Naprzód w imie Boże! Pokażmy im, że się i kartaczy nie boimy!

Nie należało się więc dłużéj ociągać, a Jankowi nikt dwa razy nie potrzebował potwarzać rozkazu. A nadto, widok śmierci kochanego przez wszystkich majora, który swych żołnierzy kochał, jak dzieci, napełnił Janka wściekłym gniewem. Rzucił się więc naprzód, rąbiąc kosą to w prawo, to znowu w lewo, a często i kosiskiem zwalił którego husara. To téż, jako gdy dzik wpadnie między ludzi i wszystko przed nim z drogi się umyka, tak i przed Jankiem usuwali się nieprzyjaciele. Boć to téż trudna sprawa stanąć przeciw kosie z bagnetem albo pałaszem, zwłaszcza jeśli ją kto tak silny i zwinny w ręku dzierzy, jak Janek. Ten i ów wziął go

wprawdzie na cel i nieraz wisiało życie Janka na włosku; ale ciemności nocy i to, że ani chwili nie stał spokojnie na miejscu, sprawiło, że go nikt nie trafił śmiertelnie.

Nagle potoczył się Janek i zwalił się w rów, który w tém miejscu wrzynał się w pole, na którém się bitwa toczyła. W téjże chwili jednak podniósł się na nogi i nasadziwszy kapelusza, który mu spadł z głowy, szedł rowem daléj, uprzątając każdego, który mu się nawinął.

Tym sposobem zaszedł daléj, aniżeli sam myślał.

W téj chwili nadjechał Szekeli w tę stronę i patrzał na to, co się działo, zachęcając swych żołnierzy do męstwa. Obok niego stał także na koniu jego adjutant, pułkownik Heinrichs, gotów ruszyć natychmiast z rozkazem dowódzcy, gdyby tego była potrzeba. Byli niedaleko Janka.

Janek nie znał Szekelego, ale domyślił się, że to musi być starszy, i z tego, że rozkazy wydawał, i z tego, że gdzie się ruszył, wszędy adjutant jechał za nim. Podsunął się więc jeszcze bliżéj rowem i wysadził się naprzód z ogromnym zamachem. Świsła kosa Szekelemu kole głowy, ale trafiła tylko konia, a Szekeli runął z nim razem między swoich W téj chwili sieknął Janek na odlew pułkownika Heinrichsa przez krzyże tak silnie, że biedak padł trupem na ziemię.

Ale za wiele już téż sobie nasz Janek podobno pozwalał.

W mgnieniu oka obskoczyły go zewsząd huzary i to tak nagle, że nim zdążył zrobić młynka kosą w koło siebie, już jakiś wąsaty husar ciął go pałaszem w głowę raz, drugi i trzeci — i Janek runął z kosą na ziemię jak długi. Jęknął tylko, a upadając wejrzał na zabójcę swego. Wąsaty huzar, spotkawszy się z jego wzrokiem, zaklął straszliwie i splunął niezadowolony sam z siebie.

Przez ten cały czas wrzała bitwa na całéj linii zawzięcie. Brzęk żelaza, jęki, hałas, krzyki, huk wystrzałów, przekleństwo i wołania o ratunek nie ustawały na chwilę, ale wzrastały coraz bardziéj — i długo było wątpliwém, która strona zwycięży.

Jednakże działa, które Dąbrowski ustawił na górze, przerzedzały okropnie szyki nieprzyjaciela, a nasi parli przytém bezustannie naprzód.

W tém rozległa się wieść po wojsku pruskiém, że Szekeli zabity. Była to wprawdzie tylko mylna pogłoska, boć wiemy, że tylko konia Janek pod nim ubił, ale było to hasłem do powszechnéj ucieczki. Szekeli ukazał się wprawdzie w téj chwili na koniu, ale już nie zdołał powstrzymać swoich, a do tego ciemności nocy przeszkadzały dowódzcom w utrzymaniu porzą-

dku. Dla tego też rozprzęgło się ich wojsko w bezładnéj ucieczce. Jednakże te właśnie ciemności ratowały ich od zupełnéj zaguby, bo konnica polska nie mogła się puścić za nimi w pogoń.

Rozdział VIII.

Pobojowisko.

I.

Krwawo zeszło słońce tego rana.

W polu, gdzie nocą wrzała bitwa, leżały dzisiaj kawałki bagnetów i połamanéj broni, pałasze, płaszcze, czapki; a między niemi tu owdzie leżały ciała poległych.

Trupów pruskich, których oni na 12 wozach zabrać nie zdołali, pochowano już na górze Szekelego; w drugiéj mogile mieli być pochowani i nasi bracia polegli.

O! jakże pięknie oświecało wschodzące słońce ich blade oblicza!

Męztwo malowało się na ich twarzach, znać było po nich, że to dzielne syny uciemiężonego kraju, godni potomkowie wielkich ojców, którzy przez wieki byli postrachem dla pochańców.

Ich dusze stały już teraz przed sądem Boga, sądzącego ich przewinienia. Ale o nich to powiedział nasz poeta Antoni Górecki:

„O błogo temu, co na ojców ziemi
Walczył i poległ z ziomkami swoimi,
Zapomną o nim, lecz w księdze u Pana
Każda krwi kropla jego zapisana.“

Bóg policzył za wagę dobrych uczynków ich śmierć za Ojczyznę, a bracia pozostali przy życiu, modlili się i modlą do Boga za ich dusze.

Pięknie oświecało słońce szlachetne, blade oblicza naszych poległych braci, ale oświecało ono téż inny jeszcze straszny i okropny widok.

O jakie pięć tysięcy kroków od góry Szekelego nad gościńcem wiodącym z Barcina, stała w polu stara, rozsochata jabłoń. Na jednéj z jéj całkiem już spróchniałych gałęzi, wisiało skrzepłe, sine ciało Karóla.

Stanęliśmy na tém, jak Frącka i związanego Karóla zabrali nasi, uciekający przed pruską konnicą. Wróciwszy szczęśliwie do obozu, odwieźli Karóla na odwach, a Frącek został przy nim, pilnując, aby nie uciekł. Kiedy zaś ustała bitwa, dał znać jenerałowi Dąbrowskiemu, że złapał szpiega.

Trzeba było razem z wschodem słońca wyruszyć w pochód, dla tego zebrał się natychmiast sąd wojenny, a przed nim stawiono Ka-

róla. Wezwano Frącka, aby złożył przysięgę, że wszystko, co doniósł o oskarzonym było prawdą. Jednakże, chociaż Frąckowi wierzono, nie wystarczało to jedyne świadectwo, aby zgładzić człowieka ze świata. Ale na nieszczęście znaleziono przy nim owe pismo od Szekelego, na mocy którego wszędzie dostawał podwody. Nie ulegało więc wątpliwości, że był w związkach z Szekelim, a nadto złapano go właśnie wtedy, jak prowadził nieprzyjaciół na obóz. Wskutek tego został jednogłośnie uznany za winnego i wskazano go na szubienicę. Okropna to kara, ale trudno! konieczna podczas wojny dla złoczyńcy, śpiega, co złośliwém swém donoszeniem staje się przyczyną śmierci wielu braci i sprowadza często na kraj cały nieszczęścia.

Niejeden z nas już widział konającego człowieka i przypatrzył się ostatnim jego drganiom. Człowiek zmęczony chorobą, co wycieńczyła siły jego, oswaja się nieco z tą myślą, że mu może przyjdzie umrzeć wkrótce; a jednak, kiedy nań przyjdą strachy śmiertelne, oczy w słup staną a język odmówi posługi — wtedy rzuca się, pręży i kurczy, walcząc ze śmiercią.

O ileż okropniejsze uczucie musi miotać tym, który zdrowym zupełnie będąc, widzi, że za chwilę będzie trupem bezwładnym, wiszącym między niebem a ziemią!

I Karólowi było z pewnością bardzo bole-

śnie na sercu i okropnie w sumieniu, kiedy dnia następnego z brzaskiem jutrzenki kilku zbrojnych ludzi z miasta prowadziło go w pośród siebie. Nie było przy nim ani ojca, ani matki, ani krewnych, ani przyjaciół; tylko ksiądz pozostał jeszcze przy nim i polecał w gorących modłach duszę jego Bogu.

Przywiodli go pod drzewo, na którém go śmierć czekała.

Tutaj rzucił się Karól na kolana, błagał, prosił i zaklinał, aby mu życie darowano. Ale próżne były prośby jego; ci co go tu przyprowadzili odpowiadali życiem własném za niego, choćby więc chcieli, nie mogliby go puścić. Jeden z nich przystąpił do niego i założył mu powróz na szyję. Wzdrygnął się Karól. Rzucił się znów na ziemię, tarzał się; już nie płacz, ale ryk wydobywał mu się z piersi.

— Płaczecz teraz podły człowiecze, mówił jeden z żołnierzy, a dla ciebie brata mi dzisiaj zabito!

— Czyż to się godzi zatruwać mu ostatnie chwile? zapytał go ksiądz łagodnie, a żołnierz zawstydzony spuścił oczy.

— Ojcze! mówił inny do księdza, mnie dziś zabito syna w bitwie, ale ja mu przebaczam, niech mu tylko Bóg przebaczy.

Karól słyszał te słowa, a głos starego żołnierza, przez który słuchać było ból wrzący

w piersiach, przeszył go na wskroś. Sumienie poczęło mu teraz jeszcze bardziéj robić wyrzuty.

— O pocóżem się dał do tego namówić! jęczał w rozpaczy. Biadaż mi! biada! Taki młody jeszcze, tak już haniebnie muszę ginąć! Ojcze! tam przed sądem Boga odpowiesz za to!

Ale nie było przy nim ojca, na którego teraz tak wyrzekał. Stary Szpek myślał zapewne w téj chwili, że jego syn pastwi się nad związanym Jankiem i że niezadługo wróci szczęśliwy.

Karól leżał ciągle na ziemi.

Przystąpiło teraz dwóch do niego i podnieśli go w górę. Spojrzał po nad siebie i ujrzał jednego z żołnierzy przywięzującego powróz do gałęzi. Za chwilę puścili go owi dwaj, którzy go w powietrzu trzymali — a Karól zawisł na powrozie, między niebem a ziemią.

Drgnął jeszcze raz — drugi i trzeci, coraz wolniéj i coraz słabiéj, — i duch jego uleciał przed straszny sąd Boga!

Panie nie pamiętaj mu grzechu jego!

II.

Janek leżał tymczasem na polu nieżywy, po owych cięciach pałaszem w płowę. Cała odzież jego była podarta i poszarpana, a tu i owdzie wydobywała się krew przez dziury jego sukien.

Kula bowiem, jeśli tylko nie naruszy kości, zrani tak, że się bólu nie czuje wcale, dla tego téż Janek choć dostał kilka ran od kuli, nie czuł ich wcale, i dopiero owe cięcia pałaszem powaliły go o ziemię. Długo leżał bez zmysłów, aż nad ranem, jakoby budząc się ze snu ciężkiego, otworzył oczy i ujrzał nad sobą klęczącego ojca i garbatego Frącka.

Stary Siermięga słyszał przez całą noc wystrzały i leżąc krzyżem prosił gorąco Boga, aby mu syna przy życiu zachował. Kiedy zaś ucichły wystrzały, nie mógł wysiedzieć w domu i wyszedł na wieś.

Tak samo, jak on nie spała także i cała wieś i wszyscy ludzie stali gromadkami, rozmawiając o tém, co się działo. Jedni utrzymywali, że Polacy, a drudzy, że Prusacy wygrali, ale wszyscy prosili Boga, żeby chłopcy ze wsi szczęśliwie powrócili.

W jednéj gromadce był stary Szpek i rozprawiał zamaszysto:

— Powiadam wam, że Polaki przegrały, boć zostali napadnięci w nocy, więc się nie mogli dobrze bronić, kiedy byli zaspani; bo to trudno się pomiarkować, jak kogo ze snu zbudzą.

W téj chwili przechodził tamtędy stary Siermięga i zasłyszawszy ostatnie słowa Szpeka, szybko puścił się do Łabiszyna.

Przybył na pobojowisko, gdy zaczęło świ-

tać i począł szukać pomiędzy trupami, które tam leżały, swego Janka, ale znaleść go nie mógł od razu. W tém spostrzegł Frącka pędzącego ku niemu.

— A wy tu ojcze czego szukacie?

— Ja, patrzę czy tu czasem Janek nie leży, a ty zkąd lecisz?

— Ja? odpowiedział Frącek lecę prosto ze sądu, gdzie Karóla osądzono na szubienicę i gdzie ja musiałem przysięgać.

— Na coś przysięgał? Czyś ty oszalał? O jakim sądzie ty gadasz?

— Długa to sprawa, odpowiedział Frącek, kiwając ręką — patrzmy lepiéj, czy tu Janka gdzie nie ma. Byłem już pomiędzy rannymi, ale go tam nie ma, w jego kompanii téż go nie ma, więc tu musi być koniecznie.

— A gdzie są teraz nasi? zapytał Siermięga.

— Szykują się właśnie do pochodu i część już poszła naprzód ku Bydgoszczy za Prusakami, odpowiedział Frącek.

— A czy to Prusacy pobici?

— Ba! i jak jeszcze zmykali, aż śmiech pobierał. Bo téż bili nasi uczciwie, tylko ja, mój Boże! nie mógłem ani jednego skubnąć, bom pilnował Karóla. Zrywałci mi się kilka razy, ale już on teraz nie uciecze. Patrzcie!

I tu wskazał ręką w stronę jabłoni, na któ-

réj w téj chwili Karóla wieszano. Stary Siermięga stanął osłupiały.

Tymczasem Frącek chodził spiesznie pomiędzy trupami i patrzał uważnie, czy nie zobaczy pomiędzy niemi Janka. Po dobréj chwili dopiero spostrzegł go i zawołał na Siermięgę. Stary przyszedłszy bliżéj załamał ręcę!

Bo też Janek okropnie wyglądał. Głowa mu opuchła, włosy pozlepiane były od krwi, która w nich zaschła, a z pomiędzy nich wyglądały trzy wielkie i głębokie rany.

Frącek obejrzał starannie głowę i rany na całém ciele, a potém pobiegł szybko do pobliskiego dołu i przyniósł wody w kapeluszu. Ukląkł przy Janku, zdjął chustkę ze szyi, rozdarł ją na poły, umaczał w wodzie i obwiązał mu głowę. Potém darł resztę chusty na mniejsze szmaty, wymywał rany wodą i obwięzywał je mokremi płatkami.

Wkrótce potém otworzył Janek oczy. Frącek podskoczył z radości, a stary Siermięga ocierał łzy rękawem, dziękując Bogu, że Janek dał jeszcze znak życia.

— Zostańcie tu przy nim i polewajcie mu rany wodą tak, aby szmaty nie przyschły; ja zaraz wrócę. To mówiąc porwał Frącek swój kij, i zostawiając kapelusz do noszenia wody, popędził do Oporowa.

Nie wyszło pół godziny, a już powrócił z Ma-

ciejem, na wozie wysoko zasłanym słomą. Wszyscy troje włożyli Janka ostrożnie na wóz i ruszyli wolno ku domowi.

Aby skrócić drogę, jechali przez pole i przejeżdżali tuż obok jabłoni, na której wisiał Karól. Janek spostrzegłszy wisielca gorzko zapłakał. Nie wiedział on, że to dla jego zguby jedynie sprowadził on Prusaków i w miałkim swym rozumie za narzędzie im posłużył.

O jakżeż on teraz okropnie wyglądał! Oczy miał na wierzch wysadzone, język wywieszony, a cała twarz sina była jak sukno. W szyję werznięty powróz przerwał mu wstążkę u koszuli i obnarzył mu piersi, a na nich spostrzegł Janek swój szkaplerz. Chciał mówić aby mu go zdjęli, ale zbytnie wzruszenie tak go osłabiło, że stracił przytomność i leżał bez zmysłów aż do Oporowa.

Staremu Siermiędze zdawało się, gdy spostrzegł na piersiach wisielca szkaplerz, że to ten sam, który żona jego dała Jankowi w godzinie śmierci, ale jakżeż miał przypuszczać, aby to miał być ten sam!

Lecz Janek poznał go natychmiast, bo ileż on go to razy, odmawiając poranne, albo wieczorne pacierze, albo mówiąc za duszę matki wieczny odpoczynek, ze łzami całował! I dziś widział tę drogą sobie pamiątkę na piersiach wisielca! O! smutneż było teraz serce jego.

Poznał biedny, że Anulka nie kochała go szczerze i nie myślała wcale o kochaniu, dając mu swój obrazek. Ba nawet! drwiła sobie snać z niego, kiedy śmiała dać Karólowi szkaplerz, którego jéj nie darował, ale dał tylko do schowania. I ta pamiątka jedyna po matce, któréj nie pamiętał prawie wcale, a któréj wspomnienie było mu świętém, wisiała teraz na piersiach wisielca, wystawiona na widok dla wszystkich.

Te téż to myśli i uczucia zaszkodziły Jankowi bardzo, a kiedy go przywieziono do domu, legł bezwładny na posłaniu. Wskutek ran dostał febry, w któréj przez kilka dni leżał w gorączce. Podczas tego wygadał przez sen wszystko, co mu na sercu ciężyło, tak, że stary Walenty i o szkaplerzu się dowiedział.

Dopiero z przywiezieniem Janka do wsi, dowiedzieli się wszyscy, jak rzeczy stały.

Stary Szpek zaprzągł co rychléj konie i pognał z żoną do Łabiszyna. Z daleka widać już było wisielca, ale żadne z nich nie chciało oczom wierzyć. Podjechali wreszcie bliżéj, zeskoczyli obaj z wozu i puścili się na wyścigi ku drzewu.

Nie dobiegła już tamdotąd biedna matka, bo poznawszy w wisielcu syna, padła na ziemię nieżywa. Z bólu pękło serce biedaczce.

Stary Szpek stanął, jak wryty. Czuł, że był zabójcą syna! Wiedział, że bez jego piekielnéj rady, nie byłby ani syn wisiał, ani żona umarła

tak nagle. Dla tego téż stał teraz pod drzewem, jak zbrodniarz, którego sądzić mają. Mimowoli przygnębiło go sumienie. Ale stary grzesznik wnet przytłumił jego wyrzuty przekleństwem na Janka i starego Siermięgę, im przypisując winę całą.

Zaniósł żonę na wóz i wrócił do wsi. Karóla pochowano pod jabłonią, na któréj był powieszony.

Uschły już konary, powoli obcinano jeden po drugim, ale do dziś dnia pozostał goły pień drzewa tego. Oblano go smołą, aby go uchronić od zniszczenia, a gdy ugnił od dołu postawiono inny w jego miejscu, by nie dać zaginąć podaniu. Sterczy tam téż dotąd, jak upiór, samotny wśród pola! Latem, kiedy, jak zasięgniesz okiem, złoci się zboże na łanie „drzewo wisielca“ czerni się z daleka, jakoby na naukę ludziom, że szpieg i zdrajca swych braci są tak czarni, jak ten pień pomiędzy złotym zboża łanem.

Lata minęły od owego czasu, a jednak pamięć tego wszystkiego żywo zachowała się pomiędzy ludem tamtejszym, i dziś jeszcze starzy ludzie pokazując wnukom „drzewo wisielca“ i opowiadając tę oto powieść okropną, wystawiają im okropną ohydę zdrady i szpiegostwa.

Rozdział IX.

Jak się ta wojna skończyła?

I.

Nazajutrz po bitwie pod Łabiszynem wyruszył Dąbrowski, ze wschodem słońca za Szekelim i dogonił go w Bydgoszczy. Tutaj przyszło znowu do bitwy.

Środkiem Bydgoszczy płynie Brda i tu dochodzi do znacznéj szerokości Położony na niéj wielki most łączy dwie połowy miasta.

Wojsko Szekelego rozłożone było w obydwóch miasta połowach, tak, że jedna część, chcąc dostać się do drugiéj, musiała koniecznie przez most przechodzić. Kiedy więc Polacy do miasta się dostali, i z jedną częścią wojska bój rozpoczęli, ustawili w ulicy, która na most prowadziła, armaty swoje w ten sposób, że mogli

powitać kulami każdego, kto się na moście pokazał. Szekeli skoro się dowiedział, że Polacy w mieście i że już zaczepili tamtę część wojska jego, pospieszył jéj natychmiast z drugą połową na pomoc. Lecz kiedy już wszedł ze swoimi na połowę mostu, zagrzmiały nasze działa, sypiąc na most kule. Niespodziewana ta zasadzka przerarażiła ich tak, że kto przy życiu pozostał, pierzchnął napowrót, ratując się ucieczką. Ale pomiędzy wielu rannymi leżał także Szekeli na moście, bo otrzymał ranę w nogę kulą armatnią, a nie mogąc uciekać, dostał się w ręce Polaków.

Dobrze się więc, jak widzimy, powodziło Dąbrowskiemu i dotąd jednę bitwę wygrywał po drugiéj, ale niestety! nie długo miało trwać to powodzenie. Jeszcze się nieskończyły dla nas dni pokuty, a raczéj teraz dopiero zacząć się miały! — Z boleścią przychodzi wspominać o wypadkach, co teraz nastąpiły, bo któż z nas opowiadał kiedy o chwilach konania matki bez wewnętrznego wzruszenia? A Ojczyzna! toć to wspólna nasza macierz kochana.

Król pruski Fryderyk Wilhelm II odstąpił wprawdzie od oblężenia Warszawy, kiedy w Wielkopolsce wybuchło powstanie, ale na jego miejsce wysłała Caryca Katarzyna bez zwłoki, drugie ogromne wojsko, pod jenerałem Suwarowem. Do niego spieszył jenerał Fersen, który

już był w Polsce, aby się połączyć, potém razem uderzyć na Warszawę.

Kościuszko postanowił przeszkodzić połączeniu się obydwóch wojsk rosyjskich i dla tego podążył za Fersenem. Spotkał go pod Maciejowicami i gotował się do stanowczéj bitwy; widząc jednak, że Moskali było trzy razy tyle jak naszych, umyślił podstępem ich zażyć. Rozkazał więc jenerałowi Ponińskiemu wziąść 600 doborowego żołnierza, obejść nieprzyjaciela i uderzyć nań z tyłu, gdy się już bitwa na dobre rozpocznie.

Nazajutrz rozpoczęła się téż krwawa i mordercza bitwa.

Polacy bili się z niesłychanem męstwem, a oczekiwali co chwila przybycia Ponińskiego. Ale minęły cztery godziny, a Poniński nie przybywał. Tymczasem z naszych miał każdy trzech przeciw sobie, a działa nieprzyjacielskie dziesiątkowały ich szyki. Już téż tylko Kościuszko sam dotąd nie stracił nadziei. Spodziewając się, że Poniński lada chwila nadejść musi, stanął na czele pułku jazdy i sam go poprowadził na nieprzyjaciela. Jego przykład zachęcił jeszcze raz naszych i jeszcze raz rozpoczęła się zacięta, rozpaczliwa walka. Ale nagle opadły wszystkim ręce! Kościuszko został przyjęty, z swym pułkiem jazdy, okropnym ogniem, a odebrawszy trzy rany; spadł z konia i wzięty został do niewoli.

Skoro wieść ta rozeszła się po wojsku, opuściła wszystkich odwaga, pomięszały się szyki i Moskale zupełnie bitwę wygrali. Zabrali oni dnia tego 5 tysięcy żołnierzy i 75 armat. Wszelako przez te cztery godziny ubili nasi Moskalom 8 tysięcy, które zaległy pola Maciejowic, świadcząc o męstwie Polaków.

Wiadomość o przegranéj bitwie, a szczególniéj o zabraniu naczelnika w niewolę, wprawiła kraj cały w rozpacz. Bo tak wszyscy kochali Kościuszkę, że wielu na wieść tę nagłą z żalu i bólu nad niedolą Ojczyzny i losem wodza śmiercią umierało.

Ale bo téż i było kogo żałować.

Naczelnik całego narodu, a więc pan całą gębą, jeździł on często w płóciennéj siermiędze, a życie prowadził skromniejsze jak niejeden kmiotek.

W owym sławnym narodzie rzymskim, był przed dawnemi czasy, jeszcze wiele lat przed narodzeniem Chrystusa Pana, dyktatorem, czyli naczelnikiem narodu, tak jak nasz Kościuszko, pewien rólnik, który się zwał Cyncynatus. A był on do tego urzędu powołany przez naród od pługa. Tego więc naczelnika zastali raz posłowie od zagranicznego króla, którzy mu wory złota przynieśli, skrobiącego rzepą przed kominem, chociaż był mógł jadać najlepsze potrawy.

Cały świat dziwuje się temu, chociaż to był człek prosty, toć mu się tam tak bardzo i dzi-

wić nie można, że sobie sam piekł rzepę. Ale temu to już się każdy dziwować musi, że kiedy razu pewnego zajechał do naszego naczelnika Kościuszki, dworzan królewski szambelan Trembecki, karetą w odwiedziny, zastał go rozdymującego ogień w kuchni!

Tamten bo i może nie umiał żyć między ludźmi, ale nasz naczelnik był człowiek wielce uczony, jeździł po różnych krajach i aż w drugiéj części świata w Ameryce wojował; a jednak był téż taki skromny w obyczajach, jak ów Rzymianin.

Nim został naczelnikiem zwykł był pijać przy obiedzie pewien gatunek wina, który jedynie lubił; ale skoro go naród na naczelnika powołał, przestał odtąd pić to wino, bo mawiał, że płaci pieniędzmi rzeczypospolitéj, a nie chciałby ani grosza wydać na zbytkowne rzeczy.

Kiedy mu się namnożyło pracy, boć wszystko ciężyło na jego głowie, prawie wcale nie sypiał nocami; a kiedy go sen zmorzył, wstawiał nogi w zimną wodę, aby się roztrzeźwić. Tak to kochał mąż ten swój kraj, że nietylko życie za niego w bitwach poświęcał, ale nawet zdrowia dlań nie szczędził.

Wiele opowiadają téż o jego dobroczynności.

Poczciwy pewien rymarz przyszedł przez chorobę do nędzy i nie mógł się z niéj podźwignąć, a żona i kilkoro dzieci wołały chleba. Słyszał on od niejednego, że naczelnik nikogo

od siebie nie puszczał z próżnemi rękami, postanowił więc teraz zmuszony nędzą, udać się do niego o ratunek. Kościuszko dał mu parę złotych i kazał narobić biczyków do konnéj jazdy. Nazajutrz kiedy przejeżdżał koło jego sklepu, kupił sobie biczyk taki. Było i z nim bardzo wielu panów, kochali Kościuszkę i dla tego każdy z nich chciał mieć téż taki biczyk,— płacili drogo, byle go tylko dostać. Za chwilę już biczyków nie stało, ale nasz rymarz poczciwy dostał tyle zamówień i tyle jeszcze biczyków nasprzedawał, że wnet przyszedł do grosza i z nędzy się wygrzebał.

W ten sposób czynił on bardzo wiele dobrego, nie dziw więc, że go wszyscy, jak ojca kochali.

Po zabraniu w niewolę pod Maciejowicami był rok trzymany w Petersburgu, a gdy wstąpił na tron nowy car imieniem Paweł, wypuścił go na wolność. Bo téż i tak nie byłby on już im tam długo wiekował. Skoro go wypuścili udał się do Szwajcaryi i tam życia dokonał. W sercach tamtejszego ludu wyryta dotąd pamięć jego, bo na całą okolicę słynął z dobroczynności swojéj.

Skoro się Polacy dowiedzieli o śmierci jego, postanowili mu okazać wdzięczność swoją. Przywieźli więc zwłoki jego do Krakowa i złożyli je w grobowcu królów naszych na Wawelu. Prócz tego umyślili mu usypać pod Krakowem mogiłę.

Przywieziono tedy na wozach ziemi z pod Racławic, gdzie to owa szczęśliwa bitwa była stoczona i wszyscy poczęli zwozić i znosić zewsząd ziemię. Panowie i żebracy, mężczyzni, kobiety, starcy i dzieci wszyscy znosili ziemię bez różnicy stanu i wieku, a znosili w czém kto miał: jedni w koszach, drudzy w sukniach. I usypali wysoką górę. Do dziś dnia stoi ta mogiła, wielka — jak wielkie było imie męża, któremu na cześć ją usypano. Ślicznie pisze o téj mogile nasz poeta Edmund Wasilewski:

„Oto Kościuszki grobowiec!
Gdyś o nim nie słyszał w grobie —
Jagiełłom — Zygmuntom powiedz
W jak grubéj kraj ten żałobie
Po mężu, co blaskiem kosy
Podniósł swe imie w niebiosy.
Widzisz tam górę na górze
Jak czerni się uroczyście?
Choć z Tatrów nadciągną burze
Ona trwać będzie wieczyście,
Ona po wieków głębinie
Świętą, nie tkniętą przepłynie.
Tam kiedy wicher się zerwie
Pomiędzy dęby i sosny,
To w jego poświstów przerwie
Jęk się odzywa żałosny —
Na srebrnym języka pasku
Rój dachów wychodzi z lasku.

A każdy ma w piersiach ranę,
A kosą lśni do księżyca,
A oko żalem wezbrane
Łzę strąca na blade lica —
Myśl tęskną piosnką wionęła:
Jeszcze Polska nie zginęła!
Ach! to są Racławic dzieci,
Śpiące wśród grobowych cieśni.
Lecz gdy księżyc noc rozświeci
Rwą się do miecza i pieśni,
Myśląc, że jutrznia swobody,
Że zmartwych wstają narody.
Rodzinnych zagród odbiegli,
By walczyć za kraj im miły
I chociaż w boju polegli
Do grobu wodza z mogiły
Spieszą garść ziemi dorzucić —
Piosenką nadziei zanucić."

Tak to umieli ziomkowie uczcić pamięć i zasługi męża, który miłował Ojczyznę bardziéj jak siebie i który trzymał się tego, że dla Ojczyzny wszystko poświęcić należy.

II.

Jakoby na domiar nieszczęścia, od zabrania naczelnika w niewolę, nic się już naszym nie wiodło.

Moskale zbliżali się pod Warszawę, a Dą-

browski i Madaliński musieli opuścić Wielko-Polskę, aby spieszyć na ratunek stolicy. Skoro téż tylko ztąd wyszli, upadło zaraz powstanie. Wkrótce potém byli Moskale niedaleko od Warszawy. Jenerał Zajączek który zasłaniał swoim oddziałem stolicę, został pobity i zmuszony cofnąć się za okopy Pragi.

Warszawianie stanęli od małego do wielkiego na wałach, jak to już téż przy pierwszém jéj obleganiu uczynili, aby bronić swych domów przed napaścią wroga.

Dnia trzeciego Listopada szturmowali Moskale cały dzień, ale nasi odparli ich szczęśliwie. Nazajutrz już o świcie rozpoczęła się walka na nowo. Była ona dnia tego krótka, ale straszna. Jenerałowie Grabowski i Jasiński polegli w obronie szańców, jenerał Zajączek został ciężko ranny. Godzinę wstrzymali nasi zapęd wrogów, ale co chwilę przychodziły nowe ich zastępy, a naszym wyczerpnęły się siły.

Po trupach wdarli się Moskale na Pragę. Straszne rzeczy działy się tam dnia tego, na ich wspomnienie włosy powstają na głowie! Prócz żołnierzy polskich, którzy dnia tego polegli, zamordowali Moskale dwadzieścia tysięcy: starców kobiet i dzieci! A straszne to mnóstwo dwadzieścia tysięcy! —

Kiedy w niedzielę zbierze się parafia do kościoła na nabożeństwo, to zdaje się, że tego

ludu pobożnego jest bardzo wiele, gdy tymczasem nigdy ich tam nie ma ani tysiąca. A mimo to, jakżeby to okropnie wyglądało gdyby tak wszystkich razem, jak tam właśnie są na nabożeństwie zebrani, napadli Moskale i pomordowali! Jakiżby to ogromny stós trupów leżał! Cały cmentarz nie wystarczyłby na to, aby ich pokłaść jednego przy drugim. Ale, aż strach pobiera wystawić sobie w myśli, dwadzieścia takich stósów trupów obok siebie. Otóż tyle to trupów zalęgło w on dzień ulice Pragi, a do tego dodać należy łomot palących się domów, a z pomiędzy ich zgliszcz wystające piszczele spalonych ludzi i krew lejącą się po bruku, aby mieć niejakie wyobrażenie tego, co się tam w on dzień działo.

Tu ulica zapchana trupami, a po nich, jak po moście, ucieka gromada ludzi przed żołdactwem. Owdzie tłum niewiast z niemowlętami na rękach, starcy, dzieci i księża, gnani przez zgraję żołnierzy, chroniącą się z ulicy na ulicę, a w tém zastąpił im oddział żołnierzy i rozpoczął mordy, jakich świat nie widział. Wszędy słychać krzyki niewiast, jęki i płacz, — a żołdactwo głuche na wszystko, co by mogło nawet i zwierzęciu serce poruszyć, szydząc pastwi się jeszcze zawzięciéj.

Ale niedosyć na tém! Ci którzy byli na Pradze lecą, uciekając przed Moskalami, ku War-

szawie za Wisłę. Ale w tém o zgrozo! Moskale spalili most na Wiśle, i nikt uciec nie może. Tysiące kobiet wskakuje w Wisłę, i topi się w jéj nurtach, aby się nie dostać w ręce oprawców. Wielu skacze w rzekę, w nadziei, że przepłyną, ale z przeciwnego brzegu trafiają ich kule żołnierzy, którzy stojąc nad brzegiem, z piekielnym śmiechem czynią sobie zabawę z ich życia. Matki tuląc do piersi niemowlęta, uciekają przed rozwścieklona tłuszczą Moskali, wołając w niebogłosy o ratunek, którego im nikt dać nie może. Moskale ze zwierzęcą przyjemnością mordują i matki i niemowlęta, które wyciągają rączęta do nich.

Zarumieniły się krwią polską fale Wisły, która zatoczyła je do morza, jakoby skarząc się przed nim na krzywdy kraju swego.

Ale na wszystko to, co się działo, patrzał Bóg z wysokości swego tronu i kładł te cierpienia narodu na szalę pokuty, za ciężkie grzechy nasze i ojców naszych!

Na drugi dzień poddała się Warszawa i Suwarow wszedł do niéj z wojskiem swojém, a Fersena wysłał, aby ścigał resztki polskiego wojska. Polacy stracili całkiem ducha, a było ich téż tak mało, że nie śmieli się wcale mierzyć z Moskalem. Dla tego téż, wkrótce potém, złożyli broń pod Radoszycami i Końskiem.

Król dostał teraz rozkaz od carycy, aby

się udał na pomieszkanie do Grodna. Skoro tam przybył pokazał mu książe Repnin nowy rozkaz od carycy, aby złożył koronę. Wiedział nieszczęśliwy, ale słaby król, że składając koronę, przyczyni się do zagłady kraju i dla tego przypomniał sobie obowiązki i przysięgę swoją i oparł się stanowczo. Ale powiedziano mu, że jak nie złoży korony, nie dostanie ani grosza pieniędzy na utrzymanie; uląkł się więc biedy i tego, że nie będzie miał czém popłacić olbrzymich swych długów i złożył koronę.

Cóż téż to za różnica między nim, a Tadeuszem Kościuszką, który snu sobie skąpił w usługach dla kraju i zdrowia nie szanował. Ale nie godzi się szemrać na wyroki Bozkie!

Skoro tylko król złożył koronę, przystąpiły trzy ościenne mocarstwa do ostatniego rozbioru Polski.

Prusy wzięły sobie jeszcze Mazowsze z Warszawą i Podlasie, Rosya zabrała resztę Litwy i Wołynia, a Austrya wzięła Kraków i resztę Małéj Polski. Było to roku Pańskiego 1795.

Pewien zacny i uczony cudzoziemiec, nazwiskiem Janssen, powiada:

„Przy wszystkich tych niesłychanych gwałtach, milczały obojętnie państwa Europejskie. Jeden tylko głos odezwał się za uciemiężoną i pokrzywdzoną Polską. — Był to głos Ojca

świętego! — Papieże Bonifacy XIII i Klemens XIV, gromowym głosem odzywali się do królów i narodów za nieszczęśliwą, ukochaną, a wierną kościołowi świętemu, Polską; ale milczeniem odpowiadano na ich słowa."

Rozdział X.

Wynagrodzenie.

W szynkowni „pod złotą sarną“ w Bydgoszczy, siedział stary Siermięga za stołem naprzeciw Frącka, który również, jak on smutną miał minę. Stary wpatrzył się w szklankę miodu, która przed nim stała i myślał, Bóg wie o czém; a garbaty gryzłróżek u swego sękatego kija i wpatrzywszy się w podłogę, zdał się również nie weselsze mieć myśli, jak stary.

— Więc to tutaj, w téj szynkowni, zrobiliście ten zapis nieszczęsny Szpekowi? przerwał garbaty wreszcie, długie i uprzykrzone milczenie.

— Przy tamtym stole, na którym teraz stawia arendarz szklanki, odrzekł Siermięga. Powiadam ci Frąsiu, że jakby mnie kto żgnął nożem, tak mi się serce ścisnęło, kiedym wszedł i przypomniał sobie. co ja to za nieszczęście sprowadził na moją żonę i na biednego Janka.

Pewniećby ona była żyła do dziś dnia, a na mojego Janka nie byłaby pewno ta bieda przyszła.

— Już bo i nie frasujcie się mój Siermięgo: pocieszał Frącek, przecież Bóg nad nami. Przecież téż już pewnie długo trzymać go nie będą! Czy wam nic nie mówił o tém?

— Alboż to oni mu powiedzą? Wszelak się spodziewa, że go wkrótce puścić muszą, bo nie mają żadnych pewnych dowodów na niego.

— A jakeście wy się tam do niego dostali? zapytał garbaty.

— Zaprowadzili mnie, mówił Siermięga, do jakiegoś pana, który siedział przed wielkiemi stosami papierów. Mówię mu tedy, że ja się chcę widzieć ze synem. A on zagadał coś do mnie, czego ja nie rozumiałem; ale mi ten, coś go widział przy bramie, wyłożył, że mi się pyta, kto ja jestem i do kogo przychodzę. Więc ja tedy powiedziałem wszystko jak należy, a on mu to znowu na ich mowę przetłómaczył. Ów tedy kiwnął głową, snać musiał pozwolić, bo odźwierny kazał mi iść za sobą. Prowadził mnie tedy przez długą sień, w której po obu stronach były drzwi z numerami. Prawie przy końcu sieni otworzył drzwi wielkim kluczem i kazał mi wnijść do ciasnéj i ciemnéj izdebki. Strasznie to tam wyglądało, mój Boże! Aż strach pobierał patrzeć po ścianach. Wiem tylko tyle, że ich tam trzech siedziało razem, bo więcéj nic

nie widziałem przed łzami. Biedny Janek popłakał się, jak mnie zobaczył, a i ci dwaj, co z nim siedzą, popłakali się razem z nami.

Sięrmięga zwiesił głowę smutnie i łzy potoczyły mu się po licu.

— Mój Boże! mówił garbaty z wzruszeniem, toć im ta się nie dziwować, że im się łzy do ócz cisną, boć to i psu się sprzykrzy wisieć cały dzień na łańcuchu, a cóż dopiero młodemu człowiekowi, nie widzieć taki długi czas, ani ludzi, ani świata.

Trzeba nam się cofnąć myślą, aby zrozumieć powyższy ustęp.

Janek leżał, wskutek ran, kilka tygodni chory, a chorował tak ciężko, że wszyscy zwątpieli o jego wyzdrowieniu. Tymczasem inaczéj Bóg rozrządził. Rany pogoiły się powoli i Janek począł do sił przychodzić. Myślał już nawet na dobre wziąść się do pracy, gdy w tém jednego dnia zjechali żandarmi i poprowadzili go, wśród zimy do Bydgoszczy. Tutaj zamknięto go w więzieniu i trzymano w niem przez trzy miesiące. Przez ten czas wzywano różnych ludzi z Oporowa na świadków i jak który mógł tak odpowiadał, byle pomódz w czém biednemu Jankowi. Ale sprawa się przedłużała i jak go nie puszczano tak nie puszczano. Widoczném było, że go ktoś podał do urzędu, bo zkądżeby wiedzieli o tém, że nietylko był w bitwie poraniony, ale

że nawet namawiał innych do obozu? Z parobków, którzy poszli do wojska z Oporowa, wrócił Wawrzyn Sikory jeszcze przed bitwą bo zaniemógł, a pozostałych czterech odesłał Dąbrowski do domu. Wszelako żadnego z nich nie wzięto do więzienia, a tymczasem Janek siedział już trzeci miesiąc.

Siermięga oczekiwał syna z dnia na dzień i wychodził co wieczór za wieś na drogę ku Bydgoszczy, a z zmartwienia pobladł na twarzy i posiwiał do reszty. Razu tedy jednego, gnany tęsknotą za synem, postanowił iść do Bydgoszczy i odwiedzić Janka. Wieczór przed tém powiedział o swym zamiarze Frąckowi, a poczciwy garbus ofiarował się iść z nim, bo chciałby był téż chętnie Janka zobaczyć. Tęsknił za nim biedak, jak za bratem, i codziennie téż mówił pacierz jeden o jego uwolnienie.

Gdy przyszli do Bydgoszczy i stanęli przy fórcie, wiodącéj do więzienia, powiedział im oddźwierny z góry, że jeżeli pozwolą z Jankiem się widzieć, to chyba tylko ojcu. Wpuścił tedy Siermięgę, a Frąckowi zamknął drzwi przed nosem. Stary zaledwie zdążył mu zawołać: „idź pod złotą sarnę, ja tam przyjdę.“ Znał bowiem tylko tę jednę oberzę, pamiętną mu na całe życie, więc ją téż nazwał po godle. Kiedy zaś wyszedł od Janka, poszedł tamdotąd i zastał Frącka siedzącego za stołem, przy szklance

miodu, pogrążonego w smutnych myślach. Opowiedział mu tedy, jakeśmy to już słyszeli, o swojém widzeniu się z Jankiem.

Przez ciąg ich rozmowy, naschodziło się wielu ludzi do izby szynkownéj i gwar wzrastał coraz bardziéj.

W téj chwili wszedł jakiś łysy, wysoki mężczyzna i trzasnął okropnie drzwiami. Ubrany był w mundur wytarty i stary, którego rękawy tak były obcisłe, że ledwie się ręce w nie zmieściły. Z przodu zapięty był pod samą szyję na świecące guziki; na nogach miał ciasne i wązkie spodnie, z pod których wydobywały się ogromne buty, tu i owdzie już połatane. Twarz przybyłego była czerwona, nabrzmiała i okryta cała trądem, co wszystko, obok zaniedbanego ubioru, świadczyło, że nowoprzybyły gość lubił zaglądać na dno kieliszka. Nos jego był siny jak burak, a pod nim były ogromne obwisłe wąsiska. Na głowie miał już tylko trochę włosów płowych, a kilkoma dłuższemi strzępkami, starał się pokryć łysinę. W drugiéj ręce trzymał trzcinę hiszpańską. Był to dawniejszy woźny sądowy, już przeszło od roku wypędzony ze służby dla pijaństwa. Żył teraz z małéj pensyjki rocznéj, która mu ledwie na wódkę starczyła.

Frącek rozśmiał się na widok nowoprzybyłego i obejrzał się na Siermięgę. Ale jakież

było jego zdziwienie, gdy zobaczył Siermięgę zbladłego.

— Cóż wam to Siermięgo? zapytał zlękniony.

— Cicho bądź, to ten oszust, co to wtedy ów kwit napisał, a mnie podpisać kazał, odpowiedział Siermięga.

— To ten łotr? zawołał Frącek.

Nowoprzybyły obrócił się i spostrzegł Siermięgę, a snać musiała mu się przypomnieć twarz jego, choć smutkiem i troskami wielce zmieniona, bo odwrócił się szybko, poszedł do stołu szynkarki, kazał sobie podać wódki i ukrył się w kącie izby. Po chwili zawołał o drugi kieliszek i nie wyszło dziesięciu minut, a już ich wypił kilka.

W miarę, jak dolewał wódki do mózgu, tracił coraz bardziéj zimną krew i począł raz poraz uderzać pięścią w stół i rozprawiać sam do siebie. Słowo „łotr,“ które usłyszał z ust Frącka, a które widocznie do niego było przystósowane, zaczęło go teraz zapalać coraz większym gniewem.

Przez ten czas rozmawiali nasi znajomi spokojnie i tylko raz poraz wejrzeli w tę stronę, gdzie siedział rozogniony i pieniący się mundurowy.

— Czego on się tak gniewa? mówił Frącek z uśmiechem, obejrzawszy się w tę stronę.

— Widocznie wódka go rozpala, odpowiedział Siermięga, i mnie się zdaje, że on słyszał, coś ty na niego powiedział.

W téj chwili ruszył mundurowy od stołu i zmierzał prosto ku nim, wywracając po drodze stołki i potrącając ludzi, którzy mu się nie dosyć szybko namykali. Zaczerwieniony, z iskrzącemi oczyma stanął nad Frąckiem.

— Tyś mnie nazwał łotrem — gałganie! zawrzeszczał na całe gardło, garbatemu nad uchem.

Frącek nie zmieszany bynajmniéj, odwrócił się spokojnie i rzekł z zimną krwią:

— Jeśliście pijani, to idźcie spać; a nie wrzeszczcie mi nad uchem, bom i trzeźwy i nie głuchy — Bogu dzięki.

— A? ty mnie spać iść każesz? ty zwierzu garbaty! Ja ci pokażę, kto pijany!

To mówiąc, zamierzył się ogromną trzciną, którą trzymał w ręku, aby grzmotnąć Frącka przez plecy. Ale garbaty zerwał się w téj chwili z ławy, uskoczył na bok i rąbnął, swym sękatym kijem, Niemca w rękę tak silnie, że trzcina mu wypadła i wleciała z trzaskiem pod stół. Na ten hałas zerwali się wszyscy od stołów i otoczyli kołem Frącka i mundurowego.

Prawie żaden z nich nie wiedział, o co chodziło, mundurowy począł im więc prędko w swoim języku wykładać, że go Frącek na honorze

obraził, zowiąc go bez powodu łotrem. A musiał im dobrze nakłamać, bo podchmielone piwem Niemcy, poczęli się okropnie burzyć na taką zniewagę, zadaną człowiekowi, mundur noszącemu. Ośmielony tém napastnik doskoczył do Frącka i wyciął mu potężny policzek. Frącek nie zamyślając się długo zwalił go, w mgnieniu oka, tak silnie swym kijem między oczy, że Niemiec runął pod stół, jak długi.

Tego było już za wiele!

W oburzoném towarzystwie wszczął się hałas okropny. Dwóch drabów doskoczyło do Frącka i powalili go na ziemię, a mundurowy, podniósłszy się z upadku, kląkł mu na piersiach.

Stary Siermięga dobywał sił ostatnich, aby ratować kochanego garbuska, ale nie mógł się przedrzeć do środka, bo go ze wszech stron przytrzymywano. Nie widział więc innego ratunku, jak wybiedz na ulicę i wołać o pomoc. Kiedy więc w téj myśli za zamek chwytał, otworzyły się drzwi same, a w nich ukazał się Janek.

— Cóż wam to tatusiu kochany?

— Mnie nic, ale patrz! tam biją Frącka! zawołał Siermięga.

W téjże chwili roztrącił Janek otaczających Niemców i był w środku koła. Jedną ręką porwał mundurowego za kołnierz, w chwiii gdy właśnie pięść podniósł na leżącego Frącka, i dźwignął go w górę, a postrząsnąwszy nim, że mu aż

zęby zadzwoniły, postawił go na nogi. Mundurowy wejrzał na Janka i popatrzeli na siebie chwilę jakoby sobie przypominali, że się gdzieś już widzieli.

— Idź mi z oczu zbóju! zawołał Janek i zmierzył Niemca wzrokiem wzgardy.

Mundurowy nie rzekł ani słowa, ale musiał uważać słowa Janka za sprawiedliwe, bo spuścił z tonu i stracił chęć do bójki. Owi dwaj, którzy trzymali Frącka na ziemi puścili go, patrząc zdziwieni na mundurowego, który stał jak zmyty. Frącek wstał téż z ziemi i otrzepywał się z kurzu.

— Coś ty mu zrobił Frąsiu? zapytał go Janek.

— Nic mu nie zrobiłem, tylkom mu powiedział, że jest łotr. Bo to on napisał ów kwit, za który was wyrzucono z chaty pod gołe niebo.

— To on? powiedział Janek.

Dwa te słowa musiały na wskroś przeszyć mundurowego, bo nie bawiąc dłużéj, wyszedł z szynkowni. Reszta gości porozchodziła się do swych stołów, rozmawiając półgłosem o tém, co zaszło i wskazując często palcami w stronę, gdzie siedzieli nasi znajomi z Oporowa.

Tymczasem zasiadł Siermięga z Jankiem za stołem, a Frącek umieścił się naprzeciw nich na ławie, kazawszy podać miodu i kołacza, aby się pokrzepić po bójce i posilić na drogę do domu.

Siermięga byłby skakał z radości na widok syna, najpierwszém więc téż jego pytaniem było:

— Jakimś ty się tu sposobem znalazł Janku?

— Wypuścili mnie przed chwilą, bo pewnie zapomnieli o mnie i wyście im mnie dopiero przypomnieli. Szedłem tedy na miasto, myśląc że was tu może jeszcze gdzie znajdę i gdym tutędy przechodził, usłyszałem hałas i wszedłem z ciekawości.

— Bóg cię tu Janku w sam czas sprowadził, mówił Frącek, bo inaczéj pewnie by mi było licho poszło. Ów Niemiec był strasznie rozgniewany, a przytém dobrze pijany. Bronić mu się nie mógłem, bo mnie trzymali. Niech ci Bóg da zdrowie, żeś tak w porę zdjął ze mnie tego łysego.

— A pamiętasz ty Frąsiu, jakeś to palnął w sam czas owego żołnierza między oczy na dziedzińcu klasztornym, kiedy już co tylko miał mi bagnet między żebra wsadzić?

Frącek poskoczył na te słowa do Janka i obydwaj się, jak bracia uściskali. Stary Siermięga, płacząc z radości, całował obydwóch kolejno.

— Jakże to było? opowiedźcie mi przecie, bo ja o niczém nie wiem! mówił stary, uśmiechając się przez łzy radości.

Janek opowiadał tedy ojcu o swém ocale-

niu przez Frącka, przy zdobywaniu klasztoru, ale Frącek nie dał mu dokończyć.

— Mój Janku, cóż ja to wielkiego zrobiłem, toć o tém ani nie warto wspominać, bo każdy inny byłby téż to uczynił, lepiéj oto wypij i pójdźmy do domu, bo będzie już czas się zabrać.

Wkrótce potém byli wszyscy trzéj na drodze do Łabiszyna. Janek opowiadał jakie ciężkie czasy przeżył w więzieniu i gdyby nie to, że już był teraz wolnym, byliby szli wszyscy troje jak z pogrzebu. Bo stary Siermięga płakał słysząc, co jego ukochany Janek przecierpiał, a i garbaty ocierał łzy ukradkiem.

Mimo to droga nie dłużyła im się wcale, a stary Siermięga szedł wiele szybciéj z powrotem, jak tam dotąd, tak, że rychléj, jak się spodziewali, stanęli w Oporowie. Pierwszy człowiek, którego tu spotkali był Szpek. Popatrzył na nich chwilę, jakoby się dziwił widokowi Janka, a spotkawszy się z jego wzrokiem, odwrócił się szybko i poszedł w inną stronę.

Rozdział XI.

Wyrzuty sumienia.

I.

W ciemną noc marcową szedł drogą wiodącą przez gęsty las jakiś człowiek. Na głowie miał okrągłą czapkę, obszytą kożuchem, którą nacisnął na uszy, chroniąc je od przejmującego zimna. Długi gruby surdut, snać podszyty watą, otulał go całego i wisiał na nim bez fałdów, tak iż nie można było rozeznać kształtów jego ciała. W prawéj ręce trzymał kij, którym się podpierał w chodzie, a lewą grzał sobie o główkę fajki, poprawiając w niéj raz po raz palcem, gdy mu się, jak należy nie dymiła.

Droga, którą szedł wędrowiec, prowadziła do Bydgoszczy z Łabiszyna. Szedł krokiem pospiesznym i widać przytém było w jego ruchach jakiś niepokój, który zdradzał, że musiała się w nim jakaś straszna walka toczyć.

Nad ranem zaszedł do Bydgoszczy; skręcił w jednę z ciasnych uliczek, i stanął przed małym, starym domem, który się tém od innych odznaczał, że miał w strychu okienko o całych, niepowybijanych szybach. Zapukał do drzwi, a gdy mu długo nie otwierano, począł mocno kołatać kijem. Po dobréj chwili otworzyła mu zaspana służąca i wpuściła go do sieni. Snać znany mu był dom ten, bo prosto wszedł na wschody, trzeszczące pod jego nogami.

W ciemnéj i ciasnéj izdebce pod strychem, leżał na brudnéj pościeli ten sam łysy człowiek, któregośmy, w mundur ubranego, w szynkowni pod złotą sarną widzieli i od którego to Janek Frącka obronił. Kilka strzępków włosów, któremi zwykł za dnia pokrywać łysinę, tedy owedy wiewając, spoczywało teraz na poduszce. Podłoga izdebki snać nie myta nigdy, była strasznie zabrudzona i nieumieciona, ściany były czarne, a na sprzętach wszystkich leżała wysoka warstwa kurzu. Na lewo od drzwi szła ku oknu ściana, pod którą stało łóżko. Tuż przy niem, pod oknem, stał stół zarzucony papierami, przed nim stało stare krzesło z poręczami, pozwięzywanemi kilkoma powrózkami. Na prawo od drzwi, pod ścianą stał tapczan stary, a z jego siennika wyglądała słoma i siano. Przed nim stał drugi stolik, ledwie trzymający się na no-

gach; kilka stołków i skrzyneczka, skórą obita, za piecem, stanowiły resztę sprzętów izdebki.

Kiedy wszedł do niéj podróżny, zatrzasnął drzwi za sobą, położył kij i czapkę na stoliku, przed tapczanem i podgarnąwszy siwych włosów, zbliżył się do łóżka. Popatrzał chwilę na śpiącego, a potém zawołał głośno dwa razy:

— Rychard! — Rychardzie!

Śpiący przebudził się, usiadł na łóżku, przetarł oczy i spostrzegł podróżnego.

— Albert! — zawołał zdziwiony — co ty tu robisz?

— Dowiesz się wszystkiego, ale powoli, bo niechciałbym cię od razu przerażać.

— Przerażać! zapytał łysy z zadziwieniem, a cóż to takiego?

— Słuchaj! mówił przybyły, przyszedłem po to, aby wyjaśnić przed sądem moją sprawę z Siermięgą. Chcę, aby znów powrócił do swéj własności.

— Czyś ty oszalał? — zawołał, zrywając się z łóżka, łysy — chcesz mnie i siebie nieszczęśliwym zrobić!

— Ciebie nie, odrzekł przybyły, bom ja ciebie przecież z trudnością do pisania tego kwitu namówił; dla tego też nie powiem, kto go pisał.

— Ale rozważ człowieku, że cię wsadzą do więzienia, zkąd pewno przed śmiercią nie wyjdziesz.

— To już nie twój kłopot, odrzekł przybyły — wstawaj i ubieraj się!

Rychard, posłuszny wezwaniu, nie pytając o nic więcej, wstał i począł się spiesznie ubierać.

— Nie strój się, rzekł przybyły, bo będziesz się mógł jeszcze położyć, skoro napiszesz, co ci każę.

Na słowa te tonem niecierpliwym powiedziane, siadł łysy, milcząc, do stołu pod oknem i wziął pióro do ręki. Gość jego począł powoli wymawiać wyraz za wyrazem:

— „Ja Albert Szpek oświadczam niniejszém, że gospodarstwo Siermięgi nieprawnie posiadłem i chcę, aby tenże Walenty Siermięga wrócił napowrót do swéj własności, którą mu wydarłem przez sfałszowanie kwitu, tutaj załączonego.“

Wziął potém pióro z ręki piszącego i podpisał swoje nazwisko, a położywszy je na stole, dobył z kieszeni owego kwitu nieszczęsnego i podał go Rychardowi. Łysy złożył list, nakreślił na wierzchu: „Wysoki królewski sąd ziemiański w Bydgoszczy“ i zapieczętował go czerwonym opłatkiem.

Tymczasem Albert dobył talara z kieszeni i położył go na stole.

— Masz to za ostatnią przysługę, którąś mi teraz uczynił. Zostań mi z Bogiem, bo pewnie się już więcéj nie zobaczymy.

To mówiąc, wsadził świeżo napisany list

do kieszeni i podał rękę Rychardowi, który nań patrzał zdumionemi oczyma.

— Powiedz mi, mój Albercie! zkąd ci przyszła tak nagle chęć opuszczenia dostatniego gospodarstwa i włóczenia się po świecie? zapytał łysy, wstając z starego krzesła. Powiedz mi przynajmniéj, co myślisz czynić teraz i dotąd zmierzasz?

— Pójdę w te strony, gdziem się urodził i w pocie czoła pracować będę na kawałek chleba. Pytasz mię, czemu to robię? Otóż powiedz mi! wiesz ty, co to są wyrzuty sumienia?

— Coś o tém już słyszałem, ale któżby się tam w to bawił!

— Pijany jesteś cały Boży dzień, odrzekł Szpek ze wzgardą, to téż mało masz czasu na to, aby rozważać, coś złego w swém życiu nabroił; ale gdybyś, tak jak ja, w jednym dniu, utracił żonę i syna i mając ich śmierć na sumieniu, pozostał samotnym na świecie, wtedy byś poznał niezawodnie, co to są wyrzuty sumienia, w które ty się nie chcesz bawić! Ja ci jednakże zapowiadam, że i przez szał pijaństwa poczujesz i poznasz je kiedyś jeszcze.

— Wiesz co Albercie, przerwał łysy, napij się ze mną, a te głupie myśli cię ominą. Tak mówisz dziwnie, że mi się aż miękko zrobiło.

To mówiąc sięgnął pod łóżko, wydobył

wielką czworograniastą flaszkę i pociągnął z niéj spory łyk. Szpek splunął z obrzydzeniem.

— Pij sobie sam, ale wiedz i to lekarstwo nie zawsze ci będzie skutkowało!

— Dajże mi pokój z groźbami! Powiedz mi raczéj, czemuś się tak nagle rozmyślił do tego niebezpiecznego kroku i co cię tak pędziło, żeś aż w nocy, pieszo tu przyszedł. Nie mógłeś to już doczekać do rana?

— Słuchaj tedy! rzekł Szpek, siadając na stary, podarty tapczan, już od kilku nocy nie mogę sypiać wcale. Co noc widzę we śnie żonę i Karóla z czerwoną pręgą na szyi i z siną obrzmiałą twarzą. I wołają na mnie: „oddaj wszystko Siermiędze, coś mu wziął niesprawiedliwie.“ Mężu, woła żona, wróć zkądeś przyszedł, myśmy tu w téj ziemi pod klątwą jakąś, bośmy tu w złym celu przyśli. A Karól, pokazuje mi swoją szyję i dodaje, patrząc iskrzącemi oczyma: „patrz ojcze! jakąś mi dał dobrą radę!“ Po każdém takiém śnie zrywam się spocony i całą już noc oka zamrużyć nie mogę. Bo, jak wiesz, jam to doradził Karólowi, aby sprowadził Szekelego na Polaków. Wczoraj wyszedłem pod wieczór na wieś, aby się widokiem ludzi lub jaką rozmową rozerwać, gdy w tém zobaczyłem Siermięgę z synem, którego wypuszczano z więzienia. Był okropnie wynędzniały i zbiedzony, bo jeszcze nie był wyleczony zu-

pełnie, kiedy go wzięto do więzienia. A wiesz ty kto go tam wsadził? Otóż to ja doniósłem go do sądu, a wskutek tego doniesienia, siedział przez trzy miesiące. Trzy miesiące więzienia dla chorego, to śmierć! Stary Siermięga posiwiał od tego zmartwienia zupełnie. Z nimi szedł garbaty, który to mojego Karóla wówczas schwytał. Wejrzeli na mnie wszyscy troje tak dziwnie jakoś, więcéj żałośnie jak gniewnie, że mimowoli odwróciłem się od nich i uciekłem szybko do domu. Położyłem się rychléj do snu, alem się téż rychléj obudził. Powiadam ci Rychardzie, że jeśli jeszcze jeden taki straszny sen mieć będę, powieszę się gdzie bądź na suchéj gałęzi. Zerwałem się z łóżka, opuściłem dom nie rzekłszy nikomu słowa, i dla tego to widzisz mnie tu tak rychło u siebie.

— To dziwna, mówił łysy, że i mnie ta trójka nabawiła wczoraj takich głupich myśli. Kiedym wchodził wczoraj „pod złotą sarnę,“ a byłem jeszcze zupełnie naczczo, spotkałem przy samych drzwiach Siermięgę. Na jego widok tak mi się jakoś wstyd zrobiło, żem się schował w kącie izby. Ale po jednym i drugim zrobiło mi się lepiéj i przypomniało mi się, że ten garbaty, łotrem mnie nazwał, gdym się we drzwiach pokazał. Nuże więc tedy ja do niego; pomogli mi tam i żebym to był wiedział, że to on Karólka złapał, byłbym mu tam dobrze za

to zapłacił. I tak dostało mu się trochę, ale właśnie się w najlepsze doń zabierałem, gdy mnie w tém ktoś nagle schwycił za kołnierz i dźwignąwszy w górę, silną ręką postawił na nogi. Obejrzałem się w wściekłym gniewie na nowego napastnika, ale twarz jego tak mnie uderzyła, tak mi się znajomą wydawała, że opuściwszy ręce zapomniałem bójki. I dobrze się stało, bo byłaby z niém pewnie trudniejsza sprawa jak z garbatym. Po krótkim namyśle przypomniałem sobie wreszczcie, gdziem go już widział. W owéj nocnéj bitwie pod Łabiszynem ubił jakiś kosynier konia pod Szekelim, a zabił pułkownika Heinrichsa. Doskoczyliśmy do niego tak nagle, że się już bronić nie mógł i ja byłem pierwszym, którym go rąbnął pałaszem w głowę. Moje cięcie było silne, dla tego też w téj chwili klęknął, zdoławszy zaledwie wyjęknąć „o Jezu!“ Widziałem, że miał na długi czas dosyć, alem w zapalczywości rąbnął go jeszcze pare razy, a zawsze w głowę. Za drugiem cięciem otworzył oczy i wejrzał umierającym wzrokiem na mnie. Zrobiło mi się wtenczas tak niemiło na sercu, żem musiał sporo pociągnąć z manierki, nim lepsza ochota wróciła. Ale, co powiesz Albercie na to, że kiedy wczoraj wejrzał mi w oczy i zdawał mnie sobie przypominać, byłem jak przykuty do ziemi! I dla tego też, kiedy ów garbaty, podniósłszy się z ziemi po-

wiedział: patrz to ten łotr, który ów kwit pisał, i kiedy Janek zdumiony zawołał: to on? wtedy jam, jak niepyszny, wyniósł się z szynkowni i piłem tak długo, ażem zapomniał o wszystkiem. Takich głupich myśli jak wczoraj, jeszcze jak żyję nie miałem. Ot! Albercie napij się ze mną, to najlepsze lekarstwo.

To mówiąc, przysadził flaszkę do ust i pociągnął drugi raz.

— Pij przebrzydły pijaku! aż się zalejesz, odrzekł Szpek z odrazą, nie ma co z tobą gadać!

To rzekłszy zabrał się i wyszedł z izby. Wychodząc trzasnął drzwiami za sobą, zeszedł ostrożnie po spadzistych skrzypiących wschodach i wyszedł na ulicę. Zwrócił się ztąd na prawo i szedł prosto ku sądowi.

Przy bramie sądowéj było na ścianie pudło do listów. Szpek stanął przed niém i zawahał się na chwilę. Dotąd jeszcze był czas wrócić do dostatku i wygodnego życia; z wrzuceniem listu do pudła kończyło się to wszystko od razu, bezpowrotnie. Dla tego téż, stojąc oparty na kiju, tarł ręką czoło i wpatrywał się w ziemię. Nagle wydobył list z kieszeni, wrzucił go do pudła i nie obracając się więcéj, pospieszył prosto ulicą za miasto, jakby go co gnało.

II.

Rychard stał po wyjściu Szpeka długą chwilę w zamyśleniu. Snać rozmyślał nad tém wszystkiem, co słyszał z ust swego gościa, bo z niedowierzaniem kiwał głową, a jakoby się obawiając wyrzutów sumienia, pociągnął jeszcze raz z flaszki i rzucił się w ubraniu na łóżko. Około południa zbudził się ze snu i wkrótce potém był już „pod złotą sarną.“

Zwykle pijał wiele, ale dzisiaj pił bez miary i pił dopóty, dopóki nie runął pod ławę. Około północy przywlókł się do domu. Nazajutrz znów wstał około południa i znów powrócił, późno w noc, pijany do domu. Trwało to przez tydzień cały.

Przez ten czas prawie ani chwili nie był trzeźwym, bo wstawszy rano, szedł szybko do szynkowni i zalewał się wódką na nowo. Snać i on musiał mieć wyrzuty sumienia, które teraz po ostatniém widzeniu się z Szpekiem jeszcze silniéj dokuczać mu poczęły. Ale, jak słusznie Szpek przepowiedział, wnet i wódka nie starczyła, aby je przytłumić, a zdrowie jego rujnowało się do reszty.

Razu jednego, a było to właśnie tydzień temu, jak Szpek był u niego, zapukał o północy do drzwi. Ta sama służąca, która wówczas Szpe-

kowi otworzyła, wpuściła go do sieni. Czekała go teraz przeprawa przez wschody.

Z wielkiém wysileniem, trzymając się poręczy i podpierając się trzciną, rozpoczął podróż swoję. Ale był jakoś tą razą bardziéj pijany jak zwykle, a musiał téż już być słabszym dzisiaj, jak inne razy, bo chwiał się na każdym stopniu i coraz większego dostawał zawrotu. Miał już tylko dwa stopnie przed sobą, gdy w tém przechylił się i runął głową na dół. Spadając tłukł ją o każdy stopień, aż jęcząc zatrzymał się na ziemi.

Na ten hałas wybiegli wszyscy domownicy ze świecami, podnieśli go z ziemi i pomogli wejść na górę. Jaki taki chciał mu co prędzéj obmyć głowę ze krwi, ale Rychard odtrącał wszystkich od siebie.

Nazajutrz już było po południu, a jeszcze nie słyszano, aby chodził po izbie, a była to zwykła godzina, w któréj kroki jego po górze słyszano. Wczorajsze spadnięcie jego ze wschodów przyszło wszystkim na myśl, wysłali więc najśmielszego na górę, aby zobaczył co się tam dzieje, a tymczasem czekali wszyscy na dole.

Wysłany śmiałek otworzył drzwi z obawą, zajrzał do izby Rycharda i krzyknął z przerażenia. Wszystko, co żyło, pospieszyło z ciekawością na górę.

Tutaj przedstawił się ich oczom straszny widok.

Na środku izby leżał twarzą na ziemi, we własnéj krwi się tarzając, nie żywy Rychard. Ręce jego wyciągnięte były na podłodze tak, że łatwo poznać było można, że w ostatniéj chwili usiłował jeszcze powstać, ale snać nie miał sił do tego. Usta miał spieczone, a po całéj, okropnie wykrzywionéj twarzy znać było męki, jakie znosił przy skonie.

Wszedłszy na górę, położył się bowiem na łóżko, nie zważając na ból w głowie i krew z niéj sączącą. Po chwili poczęło z nim wszystko tańcować do koła i zdało mu się, że łóżko się z nim kołysało na wszystkie strony. Wprawdzie był już z czemś podobném, stary pijanica obeznany, ale czuł jednak, że tą razą niezwykłe rzeczy się z nim działy. Potłuczona i pokaleczona głowa poczęła go straszliwie boleć, a piekielny ogień jął mu palić wnętrzności i gardło. Zerwał się więc, aby sobie głowę polać wodą i ugasić zarazem palące go pragnienie, ale na środku izby zatoczył się i padł na ziemię. Zrobił jeszcze kilka daremnych wysileń, aby powstać na nogi i umrzeć przynajmniéj jak człowiek na łóżku, ale czuł, że coraz więcéj sił tracił. Chciał wołać o ratunek, ale głos zamarł mu w gardle. Rzucił się jeszcze raz — drugi i trzeci i oddał ducha Bogu.

Nikogo nie było przy nim, nikt nie zamknął mu powiek, nikogo nie było, ktoby mu choć kroplą wody ochłodził język spieczony i usta spragnione! A iluż to pijaków tak, jak on, umiera?

Przeszukano papiery Rycharda i z nich dopiero dowiedzieli się wszyscy, że to był starszy brat Szpeka. Przyszedł on jeszcze przed nim do naszego kraju i już wtenczas miał ów nieszczęśliwy nałóg pijaństwa. Dla tego też nie brał się do niczego, aż przepił wszystko, co przyniósł z sobą. Wtenczas dopiero począł myśleć o sobie i wystarał się o miejsce woźnego, przy sądzie w Bydgoszczy. Wkrótce potém przybył do naszego kraju Albert, chcąc za trochę grosza, który posiadał, kupić kawałek ziemi naszéj. Przy pomocy Rycharda, jak to już wiemy, udało mu oszukać biednego Siermięgę.

W rok potém ożenił się Rychard, ale i po ożenieniu nie zaprzestał nałogowego pijaństwa, a gdy mu za to nieszczęśliwa żona wyrzuty czyniła, bił ją ile razy przyszedł pijany do domu. Nie dziw, że kiedy w dwa lata po ślubie biedaczka umarła, mówiono powszechnie, że z jego to winy tak wcześnie z światem się rozstała, ba! mówiono nawet, że ją po prostu zabił.

Została mu jedyna córeczka, którą on bardzo kochał. Śmierć żony wpłynęła trochę na jego umysł i zdawało się, że się upamięta i za-

niecha nałogu swego. Ale poprawa ta trwała niestety! zbyt krótko, bo nie wyszło czterech miesięcy, a Rychard pił znowu jak dawniéj.

W tém zachorowała mu córka, a ojciec pijanica mało dbał o to, aby ją leczyć; wkrótce też poszła za matką, a Rychard, wpędziwszy w grób niewinne istoty, został sam na świecie. Sprawował jeszcze przez kilka lat swój urząd, aż wreszczcie musiano go oddalić dla pijaństwa. Wyznaczono mu jednakże małą pensyjkę, którą mu co miesiąc wypłacano.

Kiedy w rok przed śmiercią jego wybuchło powstanie, i Dąbrowski wszedł do Wielkopolski, zgłosił się Rychard do wojska. Chętnie tam dążył, bo wabiło go pijackie życie w obozie. Wiemy już, że on to był owym huzarem, który, za dziwném zrządzeniem Boga, poranił Janka w bitwie pod Łabiszynem.

Powróciwszy od wojska, pędził daléj nędzny swój żywot. Zdarzało się często, że pod koniec miesiąca, przez pare dni nie miał czém głodu zaspokoić, aż znaglony biedą napisał do Alberta o wspomóżkę. A przyznać trzeba, że Szpek przysełał mu zawsze kilka groszy, kiedy był odeń oto proszony. Tym sposobem żył nędznie z dnia na dzień, zalewając wyrzuty sumienia gorzałką, aż go Bóg wreszcie przed swój straszny sąd powołał.

Rozdział XII.

Dwa śluby.

I.

Nazajutrz po wyjściu Szpeka ze wsi, poruszeni byli wszyscy tém niespodziewaném zdarzeniem.

Nikt o niczém inném nie mówił, i jak to zwykle bywa, wygadywali ludzie niestworzone rzeczy, a każdy chciał mieć prawdę po sobie.

Aż wreszczcie wyświeciła się sprawa, gdy w kilka dni zjechało kilku urzędników i wprowadzili Siermięgę do własności. Cały dobytek z wszelkiemi ruchomemi i nieruchomemi sprzętami oddano mu w posiadanie.

Nad spodziewanie swoje w jednym dniu, po tylu latach nędzy, został, z biednego komornika, zamożnym znowu gospodarzem. Na podziękowanie Panu Bogu za to niespodziewane dobro-

dziejstwo, zakupił nazajutrz mszą świętą i modlił się długo ze łzami.

Jakżeż zmienił mu się teraz świat cały.

Głód i niedostatek przestał mu odtąd dokuczać, a kochany jego Janek nie potrzebował już więcéj zabijać się zbytnią pracą. Nie dziw téż, że stary Siermięga nagle, jakby odmłodniał.

Pierwszym, który mu przybiegł powinszować szczęścia, w odzyskanéj chacie ojców, był stary Maciéj. Obydwaj przyjaciele ściskali się długo ze łzami.

Tymczasem w chacie Macieja smutno teraz było.

Znikł usmiech z lica Hanusi, który zawsze po nich igrał, i Jagna jakoś posmutniała i podstarzała się znacznie, a stary Maciéj nie wesoło jakoś spoglądał. Jedna tylko Małgosia była i najzdrowsza i najweselsza; ale i ona, choć zaczęła czasem wesołą piosenkę, wnet ucięła i albo zaczęła tęskną jaką dumkę nucić, albo téż nabożną pieśń zaśpiewała.

Rok minął od owéj bitwy pod Łabiszynem, a dotąd żaden z chłopców nie postał w ich chacie, żaden nie przemówił do Hanusi ani słowa. Widocznie stronił od niéj każdy.

A i Janek nie rzekł do niéj od roku ani słowa. Przecież był on teraz najbogatszym chłopcem we wsi i śmieléj mógł już o nią się sta-

rać, a nawet miał do nich teraz bardzo blizko, bo chaty ich dotykały się ogrodami.

Wprawdzie ile razy się spotkał z Sikorą, rozmawiał z nim chętnie i mile, ale nie dał się nigdy nakłonić do tego, aby pójść z nim do wnętrza domu. Kiedy zaś trafił Hanusię, pozdrowił ją uprzejmie, ale nie zawięzywał z nią nigdy rozmowy.

Pewnego wieczora siedział Maciéj z Walentym pod przyzbą chaty, posilając się miodem, który stał w dzbanie przed nimi.

— Twój Janek, mówił Maciéj, stroni widocznie razem z drugimi od mojéj Hanusi. Nie wiem, co im ta dziewczyna złego zrobiła.

— I ja to uważam, odpowiedział Walenty, i wierz mi mój Macieju, że mnie to bardzo boli. Byłoćby to moje całe szczęście, gdyby się nasze dzieci pobrać chciały, aleć trudno ich przymuszać.

— Uchowaj Boże! pochwycił prędko Maciéj, liche to małżeństwo, którego Bóg sam nie zwiąże. Ale powiedz mi téż, cóż Janek ma takiego do niéj?

— A nie wiesz to nic o szkaplerzu?

— O jakim szkaplerzu? zapytał zdziwiony Maciéj.

— Co go to Janek dał Hanusi, idąc na wojnę. Kiedyśmy go wieźli koło drzewa wisielca, spostrzegł go na piersiach Karóla.

Sikora uderzył się dłonią w czoło.

— Nic o tém nie wiem! Muszę się natychmiast dowiedzieć, jakim go sposobem Karól dostał, bo mi się to w głowie nie może pomieścić, żeby mu go Hanusia darować miała.

— Zrób tak, rzekł Walenty, bo może mój chłopak bez powodu na nią się gniewa; a czas by mu też było poszukać sobie gospodyni, bo nam nic od ręki w gospodarstwie nie idzie.

Stary Maciéj zabrał się i poszedł do domu.

Zły i zadąsany wszedł do chaty, a spostrzegłszy Hanusię, zapytał się z góry:

— Powiedz mi, coś ty zrobiła z tym szkaplerzem, który ci dał Janek idąc na wojnę?

Hanusia zagadnięta tak z nienacka, zupełnie straciła głowę i nie wiedziała co odpowiedzieć. Stary Maciéj uniesiony gniewem, nie przypuszczając jéj do słowa, zawołał:

— Namyślasz się pewnie, jakby mnie okłamać! Sądzisz może, że go ludzie nie widzieli na piersiach wisielca? I teraz byś pewnie jeszcze chciała, żeby Janek chodził do nas? Nie wiem, ktoby mógł kochać taką płochą, jak ty, dziewczynę!

— Ja tam o Janka nie stoję, żachnęła się z hardością Hanusia, bo jeżeli tylko pozwolicie, to zaraz pójdę za Błażejowego Marcina!

— Co znowu? zawołał zdziwiony Maciéj, wszakżeś dawniéj na niego patrzeć nie chciała?

Marcin był to syn dosyć zamożnego kmiecia z Lubostronia. Był to chłopak gładki i wystrojony chodził zawsze do kościoła, jak rzadko który, ale na nieszczęście wiedzieli o nim wszyscy, że do roboty nie był wcale stworzony, a co gorsza wiedzieli i to o nim, że do gościńca strasznie lubił zaglądać. Widywał on Hanusię zawsze w kościele i zbliżał się zawsze, jak mógł do niéj, ale ona ani spojrzeć na niego nie chciała.

Tymczasem od roku zmieniła się postać rzeczy. Wszyscy chłopcy z Oporowa poczęli od niéj stronić, i ona, która zawsze w wesołem gronie wracała z kościoła do domu, szczęśliwą teraz była, że chociaż Marcin nie wahał się iść z nią i rozmawiać po drodze. Ośmielony tém Marcin nieraz jéj już wspominał o zamężciu, ale Hanusia zbywała go zawsze niczém, bo spodziewała się jeszcze napewne, że Janek powróci do niej. Spodziewała się, że może nie wie nic o szkaplerzu.

Dla tego też usłyszawszy teraz od ojca, dla czego Janek od niéj tak stroni, nie namyśliwszy się wcale, powiedziała, że pójdzie za Marcina.

Stary Maciéj siadł na ławie i w smutku pochylił głowę. Po długiéj dopiero chwili odezwał się z westchnieniem!

Namyśl się moje dziecko, co chcesz zrobić, i rozważ dobrze, czy Marcin będzie dobrym i uczciwym mężem. Ja ci méj woli narzucać

nie będę, ale pamiętaj, że jak sobie pościelesz, tak się téż i wyśpisz.

Tymczasem po odejściu Macieja, opuścił i Walenty przyzbę i wszedł go chaty. Zastał tutaj Janka, siedzącego na ławie, i wspartego łokciami na stole. Smutna jego mina podpadła staremu.

— Co tobie jest Janku? zapytał go tedy troskliwy ojciec. Czegoś ty taki smutny? Czyś ty nie chory czasem?

— Nic mi nie jest ojcze, tak sobie smutny jestem dzisiaj trochę.

— A czemuż téż ty nie idziesz kiedy do Sikorów. Stara Jagna już się kilka razy o ciebie pytała, a i Hanusia by się téż ucieszyła, żebyś do niéj choć słówko przemówił.

— Kto wie, czyby się i ucieszyła? Pewnieć ona tam jeszcze nie zapomniała Karóla, a zresztą jéj tam już inny w głowie.

— A kto taki? zapytał zdziwiony Siermięga.

— Błażejów Marcin z Lubostronia.

— Ale! cóż téż tobie w głowie Janku! gdzież jéj tam ten w głowie?

— A ja wam ręczę ojcze, że ona pójdzie za niego, bo to uparta dziewczyna. Widzi, że teraz od niéj wszyscy stronią, to téż będzie chciała wyjść za byle którego, a najchętniéj chciałaby usunąć się im z oczu i wyjść całkiem ze wsi.

Stary Walenty uznawał prawdę słów syna,

niedowierzał jednak jeszcze bardzo, ale nazajutrz dowiedział się od Macieja o postanowieniu Hanusi.

W kilka niedziel potém wyszła już pierwsza zapowiedź Marcina z Hanusią, a w trzy niedziele potém miał się odbyć ich ślub.

Stary Maciéj nie mięszał się do niczego, snać nie w smak mu było to wesele, ale niczemu się nie sprzeciwiał. Za to Jagna z obiema córkami krzątała się bez ustanku, aby wszystko, jak najlepiéj urządzić. To téż w dzień ślubu wystroiła się Hanusia, tak jak dawno już panny młodéj wystrojonéj nie widziano, a i Marcin wystroił się tak, że nie potrzebował się wstydzić przy niéj.

Janek proszony był za drużbę, a chociaż przykro mu to było, jednakże nie odmówił i stawił się na czas.

W dzień ślubu zajechał długi rząd wozów przed kościół i weselnicy weszli do kościoła, aby być na nabożeństwie, po któróm miał się odbyć święty obrządek. Po skończonéj mszy świętéj zaśpiewał organista pieśń do Ducha świętego, poczém ksiądz proboszcz związał nowożeńcom ręce na zawsze. Wzywał właśnie przytomnych na świadki, jako śluby małżeńskie zawarte zostały pomiędzy nowożeńcami — gdy w tém rozległ się po kościele śmiech dziki, okropny, i jakiś człowiek obłąkany wybiegł z kościoła.

Wszyscy zwrócili się przerażeni w tę stronę. Był to stary Szpek, ojciec Karola wisielca.

Wybiegłszy z kościoła pędził szybko naprzód, nie obracając się na żadne wołania. Oczyma rzucał na okół błędne wejrzenia, a usta miał wykrzywione okropnym śmiechem, jakim się tylko obłąkani śmieją.

Przez cały ciąg obrządku ślubnego stał on milcząc w kruchcie i patrzał błędném okiem na ołtarz. Ślub dziewczyny, dla któréj syn jego zbrodni się dopuścił i życie stracił, musiał wywrzeć okropne wrażenie na umyśle biednego ojca! Poprzednio miał już pono słabe pomięszanie zmysłów, w skutek snów bez ustanku go trapiących, i dla tego nigdy długo na jednem miejscu nie siedział. Krążył więc z miejsca na miejsce w rodzinnéj swéj ziemi, aż wreszcie, może mimowiedzy nawet, zaszedł w strony, gdzie pochował żonę i syna.

Zjawienie się jego w kościele, podczas ślubu, przeraziło wszystkich, a śmiech jego przeszedł wszystkim dreszczem po kościach. Stali więc przez długą chwilę w osłupieniu, Hanusia była blada, jak ściana.

W téj chwili odezwał się ksiądz proboszcz od ołtarza:

— Patrzcie! oto znak kary Bożéj, świeży dowód sprawiedliwości jego, niechaj wam nowożency posłuży za przestrogę na całe życie!

Czego nie chcecie, aby wam inni czynili, tego i wy im nie czyńcie, a Pan Bóg będzie wam błogosławił.

Poczém udzielił wszystkim błogosławieństwa i tém uspokojeni wyszli z kościoła. Powsiadali wszyscy na wozy i cały orszak ślubny ruszył do domu. Nie było jednak słychać wesołych okrzyków, jak to zwykle przy wesołach bywa. Każdy okrzyk radosny, zamierał weselnikom na ustach, bo śmiech Szpeka dzwonił wszystkim w uszach. I dla tego całe wesele odbyło się jakoś smutno i nie wesoło.

Próżno Janek zachęcał do picia i jedzenia, próżno rozweselić usiłował, wesołość uciekała z twarzy godowników. Bo i po drużbie widać było, że przymuszał się do wesołości i że mu ciężkim był urząd, z którym tak dobrze od dawna był obeznany.

I panna młoda nie weselszą była. Czuła ona dobrze, że bez namysłu uczyniła ten stanowczy krok w życiu, po którym wszelki żal jest daremny. Sądziła biedaczka, że skoro Janek się dowie o jéj zamysłach, pójdzie ją przeprosić i przyspieszy wesele, ale zawiodły ją oczekiwania. Janek gardził nią od téj chwili, w któréj ujrzał swój szkaplerz na piersiach Karóla, poznał że była płochą dziewczyną, a jemu nie takiéj było potrzeba na towarzyszkę życia całego. Kiedy teraz tak nierozważnie szła za

mąż, uważał to za świeży dowód, że go nigdy nie kochała. Bolało go, że się tak na niéj oszukał, a dziękował Bogu, że ją poznał przed czasem.

Wesele skończyło się nadzwyczaj rychło, bo godownicy porozchodzili się prędzéj, aniżeli to było w zwyczaju. Nazajutrz rano opuściła Hanusia dom rodzicielski i wioskę rodzinną, a przeniosła się z mężem do Lubostronia.

II.

Wkrótce po tém weselu zachorował ojciec Jana bardzo ciężko. Nie było nikogo, ktoby go pilnował, bo Janek musiał przypilnować roboty w polu, gdyż właśnie żniwa się rozpoczęły; a dziewka, która zostawała w domu, miała tyle do roboty z gotowaniem i koło inwentarza, że biedny Siermięga musiał nieraz długo wołać, nim mu kubek wody podano.

Janek martwił się z tego powodu bardzo, bo ojciec w domu zostać nie pozwalał, a nikogo uprosić nie było można, aby siedział dzień cały przy chorym. Dla tego téż chodził milczący i zmartwiony.

Trzeciego dnia, po zachorowaniu ojca, wrócił z pola smutny i siadł na ławie.

— Czegoś ty taki smutny Janku? zapytał go ojciec.

— Jakżeż nie mam się smucić, mój Boże!

kiedy wy tu ojcze leżycie tak na opiece Boskiéj i nikt tu do was nie zajrzy.

— No! no! odrzekł stary z uśmiechem, nie łamno sobie głowy tak bardzo. Wczoraj i dziś siedział tu przy mnie aniołek, który mnie pielęgnował.

— Jaki aniołek? zapytał Janek zdziwiony, sądząc, że może ojciec w gorączce gada.

— Ba! jaki, odpowiedział stary z uśmiechem zadowolnienia, wierzę żebyś chciał go widzieć, ale trudno! powiedzieć ci tego nie mogę, bo mi wyraźnie zakazał.

Janek zwiesił głowę, bo był pewien, że ojciec mówi od rzeczy, i że mu się pogorszyło. Stary musiał to zmiarkować, bo po chwili milczenia, odezwał się znowu:

— Widzę, żeś bardzo ciekawy mój Janku! Przyjdźże więc jutro rychléj, jak zwykle, od roboty, a zrozumiesz wszystko.

Nazajutrz wrócił Janek o całą godzinę rychlej od roboty i jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył Małgosię przy łóżku ojca. Przykładała mu właśnie chustkę z zimną wodą na głowę i tak była zajęta, że ani spostrzegła, jak wszedł do izby.

Janek stał długą chwilę na progu, nie mówiąc ani słowa.

W téj chwili spostrzegł go stary i zawołał z radością:

— No! widzisz teraz tego anioła, o którym ci wczoraj mówiłem. To ona mnie tu tak cały dzień pielęgnuje.

— Bóg ci zapłać! poczciwa i dobra Małgosiu, rzekł Janek i podał jéj z podziękowaniem rękę.

Małgosia stała zarumieniona po same uszy, jak człowiek na gorącym uczynku schwytany, i nie rzekła ani słowa.

Janek tymczasem przypatrywał jéj się z zajęciem, a pierwszy to raz przyjrzał jej się lepiéj. Jakżeż mu się piękną wydała w tej chwili! Ubranie jéj było skromne i nie wyszukane, jak to zwykle u Hanusi bywało, ale czyste i chędogie. A wdzięczność, jaką uczuł do niéj, za tak troskliwą opiekę nad ojcem, jeszcze ją dwakroć piękniejszą w oczach jego czyniła. Ale o tém wiedział już Janek, że piękność to marny i znikomy przymiot, jeśli obok niego jest dusza brzydka; tém więc ładniejszą wydawała mu się Małgosia, że tyle już pochwał o niéj od ojca słyszał dawniéj, kiedy to jeszcze tak szczerze kochał Hanusię. Wówczas nie zwracał na nią nigdy uwagi, i jakeśmy widzieli żegnając się w chacie Sikory nawet Magłosi ręki nie podał. Za to w téj chwili ogarnął go żal serdeczny, że tak dobre i poczciwe dziewcze tak sobie lekko cenił.

— I czemże ci się odwdzięczę moja Mał-

gosiu za twoje dobre serce, rzekł wreszczcie po chwili rozrzewniony.

— Alboż ja to robiła, żebyś ty mi się odwdzięczał Janku? odpowiedziała Małgosia. Mówił mi ojciec: Walenty tam leży chory na opiece Boskiéj i nikt go tam nie dojrzy, więc mnie się żal zrobiło, ot! i przyszłam tutaj. Ale wy Walenty wstydźcie się, żeście nie dotrzymali słowa! Przyrzekliście mi, że nie powiecie Jankowi, a jednakżeście mu powiedzieli.

— Nie powiedziałem, dziecko moje! nie, niechże on sam powie. Wstał Walenty śmiejąc się na łóżku, kazałem mu tylko przyjść trochę rychléj, jak zwykle.

— A! toćżeście mu téż więcéj nic nie potrzebowali powiadać, odrzekła Małgosia z uśmiechem. Ale już mi téż czas iść do domu, zostańcie tu z Bogiem do jutra.

To rzekłszy wybiegła z chaty, z figlarnym uśmiechem na ustach. Już dawno nie było jéj w izbie, a Janek stał jeszcze zagapiony i patrzał na drzwi, któremi wyszła.

— Czegoś się tak zamyślił, wołał stary ojciec, uśmiechając się skrycie, patrzcie go, jakże go Małgosia zbiła z toru. A szykownaż bo też to dzieweczka, wszak prawda?

— Co szykowna — to szykowna, odpowiedział Janek, anim uważał tego dotąd.

— A wszakżem ci zawsze mawiał, że z Mał-

gosi lepsze dziewczę, jak z tamtej, aleś ty mnie nigdy nie chciał słuchać.

Janek nic nie odpowiedział na to, ale przyznawał w duchu, że ojciec świętą prawdę mówił. Odtąd też przez cały ciąg choroby widywał Małgosię prawie codzień w swej chacie, bo starał się przyjść z pola tak wcześnie, aby ją zastać jeszcze. Stary Walenty widział z radością, że dziewczę przypadało Jankowi coraz bardziej do serca, bo znał Małgosię dobrze i wiedział, że lepszej synowej życzyćby sobie nie mógł.

Minęły od tego czasu dwie niedziele.

Siermięga przyszedł już prawie całkiem do zdrowia i wybierał się w odwiedziny do Sikorów, bo właśnie była niedziela.

— Więc tu zaczekaj Janku, jeśli przystaną na wszystko, to przyślę po ciebie.

To rzekłszy, przeżegnał się święconą wodą i wyszedł z chaty.

Janek patrzał za nim przez okno z bijącém sercém, aż zniknął w chacie Sikorów.

— Witajże do nas! Dzięki Bogu, żeś już zdrów tak dalece! Wstał Sikora, witając kochanego Walentego serdecznie.

— Ja was też wszystkich witam! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, odpowiedział Walenty.

— Na wieki wieków Amen! odrzekli wszyscy razem.

— Siermięga siadł na ławie i rozpoczął rozmowę o pogodzie i sprzęcie tegorocznym, aż upatrzywszy chwilę, gdy wyszła Małgosia, rozpoczął rzecz swoją:

— Przyszedłem do was, mój Macieju, z tém, czegośmy oddawna pragnęli. Mój Janek prosi was przezemnie, abyście mu waszą Małgosię za żonę dali. Nie będę, go wam zachwalał, boć go znacie oboje, jeślibyście więc nic przeciw temu nie mieli, moglibyśmy im niezadługo weselisko wyprawić. A na mój rozum, to i wasza Małgosia nie krzywa mu wcale.

— Ja, mój Walku, odpowiedział po chwili Maciéj, jak wiesz o tém, od dawnam sobie tego życzył, niech więc tylko Jagna powie, czy się na to zgadza.

— A jużcić się zgadzam całém sercém, miły Jezu! zawołała, nie namyślając się długo, Jagna. A toć wasz Janek, Siermięgo! to chłopak, jak świeca, a i z poczciwości znają go wszyscy we wsi.

— Kiędy więc taka wola wasza, poślijże tedy Macieja po mojego chłopaka, niechże przyjdzie i sam was poprosi.

Za chwilę był już Janek w izbie. Uścisnął Macieja i Jagnę za kolana i prosił pokornie, aby mu nie odmawiali pożądanego szczęścia. Jagna przywołała Małgosię, która domyślając

się wszystkiego, weszła czerwona po same uszy, z spuszczonemi oczyma.

Młodzi podali sobie ręce i prosili o błogosławieństwo rodziców.

— Niech ci Bóg we wszystkiém błogosławi, moja córko, tak jak ja tobie teraz błogosławię, mówiła Jagna ze łzami, robiąc krzyż nad głową Małgosi.

— Niech wam Bóg błogosławi i da długich lat doczekać w zdrowiu i szczęściu! Pamiętajcie o Bogu, a on o was nigdy nie zapomni, błogosławił Maciéj.

Z kolei przystąpił Siermięga i, robiąc krzyż nad głowami młodych, mówił ze łzami:

— Synu, tyś mi jest wszystkim teraz na świecie. Prosiłem Boga zawsze o twoje zdrowie i nigdy nie przestanę go prosić za tobą, aby wam szczęścił przez długie lata.

Łzy nie pozwoliły mu mówić więcéj, ucałował tylko obydwóch po głowie i siadł na ławie. Jagna posłała na tę uciechę po sąsiadów i odbyły się tego wieczora zmowiny wesoło i przyjemnie, A snać musiała Małgosia z matką już poprzednio wiedzieć o tém, co będzie tego wieczora, bo było wszystko naszykowane i nagotowane na przyjęcie sąsiadów i sąsiadek.

Już następnéj niedzieli wyszła pierwsza zapowiedź Janka z Małgosią, a w trzecią niedzielę potém miało się odbyć wesele. Po drugi więc

raz rozpoczęły się w chacie Sikorów przygotowania do wesela, a Janek kazał swoją chatę wybielić, wyczyścić i wyporządzić na przyjęcie gospodyni. Przy tém wszystkiém krzątali się obaj starzy, jak młodziki o dwudziestu latach i dopiero pod wieczór schodzili się razem w sadzie przy ulach brzęczących pszczółek, a popijając w cieniu drzew stary miodek, który sobie sami gotować umieli, odpoczywali po trudach dnia całego. Na ich twarzach widać było szczęście i zadowolnienie, jakie nam daje spełnienie tego, czegośmy sobie oddawna życzyli.

Przyszła wreszcie oczekiwana niedziela.

Od świtu już wszyscy nie spali, boć to zwykle przed weselem roboty co nie miara. Druchny zeszły się ubrać pannę młodą, a i to zabrało nie mało czasu, więc też nad spodziewanie szybko zbliżył się czas do kościoła. Zajechały wozy z postrojonymi gośćmi, a przed wozami drużbowie na koniach, pod dowództwem Frącka.

Garbatego ledwie było widać z pod wstążek, któremi się postroił, a widać było po nim, jak się szczerze cieszył z szczęścia Janka.

Wesoło ruszył cały orszak do kościoła i niemniéj wesoło powrócił po ślubie.

Rozpoczęło się wesele jakiego już od dawna sobie nie przypominano, a radość była u wszystkich serdeczna, bo wszyscy kochali szczerze

i Janka i Małgosię. A przyznać też trzeba, że chyba tam ptasiego mleka brakło. Jadła i napojów było pod dostatkiem, a wszystko było czysto i smacznie przyrządzone, bo Jagna pilnie wszystkiego doglądała.

Rozdział XIII.

Co daléj?

Czas nam zobaczyć teraz za Hanusią d
Lubostronia.

Marcin zarządzał tu ojcowizną, a dwo
młodszego rodzeństwa, miał późniéj spłacić. A
mój Boże! liche było to jego zarządzanie. Z
miast przypilnować roboty, lubiał on dłu
na dzień sobie sypiać, a kiedy był w polu,
już więcéj ziewał, jak pracował. Szło mu te
wszystko oporem.

W pierwszym zaraz roku spóźnił się z za
siewami, a w drugim roku sprzątał tak opie
szale, że dopiero wtedy na dobre rozpoczą
kiedy już inni kończyli. Jakby za karę zesła
Pan Bóg deszcze, tak że mało co zdołał szcz
śliwie zebrać.

Na nieszczęście Hanusia też nie była wca
dobrą gospodynią, chociaż więc zrzędziła częs
i wyrzucała mężowi lenistwo, nie zachęcała

jednakże sama dobrym przykładem i tak nic mu nie szło od ręki. To téż niedziw, że w trzy lata podupadło gospodarstwo tak dalece, że ojciec jego, widząc, na co się zanosi, postanowił sprzedać wszystko, aby nie pokrzywdzić drugich dzieci.

Stary Maciéj wiedział o wszystkiém i martwił się skrycie. Jedyny, przed którym się w swym smutku użalał, był stary Walenty, bo on téż jedyny umiał go w smutku pocieszyć i w potrzebie poradzić. Często wzywali też i Janka do rady i nieraz się zdarzyło, że szli obaj za tém, co on radził.

Pewnego tedy wieczora postanowili wszyscy troje razem, sprowadzić Marcina z żoną do Oporowa i pracować wszystkiemi siłami nad tém, aby zrobić z niego porządnego i pracowitego człowieka.

Wskutek tego mieszkał Marcin, już w tydzień potém, w chacie rodziców swéj żony.

Z początku szło wszystko jako tako, a chociaż Marcin mało co robił, nie napędzał go Maciéj do roboty, aby go na wstępie zaraz nie odstraszyć. Marcinowi było to na rękę; cały więc dzień odpoczywał w chłodzie i ociągał się z dnia na dzień z rozpoczęciem jakiéj roboty.

Stary Maciéj patrzał na wszystko, ale nic nie mówił, widać jednak było po nim, że miał jakieś zamiary, z którymi się taił. Minął tak tydzień cały, dla Marcina bardzo przyjemny, i drugi już się kończył, gdy pewnego wieczora

przyszedł Maciéj od Siermięgów i rzekł do niego w te słowa:

— Jutro rano pojedziesz Marcinku w pole. Zorzesz ten kawał ugoru, com ci go już raz pokazywał, tylko wstań do dnia, bo nam się trzeba spieszyć z robotą.

Marcinowi nie bardzo było to na rękę, podrapał się téż po głowie, ale nic jednak nie odpowiedział. To téż nazajutrz już było słońce wysoko na niebie, a on zasypiał jeszcze wedle zwyczaju. Hanusia chciała go kilka razy budzić; ale stary Maciéj, czy to przez troskliwość o jego zdrowie, czy téż z innego jakiego powodu, nie pozwolił mu snu przerywać. Było téż już dobrze z południa, kiedy wreszczcie wstał nasz ospały Marcin i przypomniał sobie, że miał dzisiaj pilną robotę w polu. Rozważywszy sobie jednakże, żeć przed południem już nie opłaci zabierać się do pracy, poszedł do sadu i zasnął wkrótce smacznie, w cieniu jabłoni. Tymczasem zbliżyło się południe, a Marcin byłby spał może jeszcze, gdyby mu nie był począł głód dokuczać. Zerwał się więc i pospieszył do domu.

Zastał tutaj wszystkich zajadających smacznie, ale zdziwił się nie pomału, gdy dla siebie ani miejsca, ani łyżki nie zobaczył. Rozgniewany tém srodze, bo głodny zawsze do gniewu jest skory, począł wymyślać na żonę, że o nim nie pamięta wcale.

Stary Maciéj, nic nie mówiąc, położył łyżkę na stole i stanął przed rozdąsanym Marcinem.

— Chcesz jeść? zawołał, a zarobiłeś na jadło? U mnie dostaje tylko ten strawę, kto na nią zapracuje! Przespałeś całe dopołudnia, prześpij téż i obiad!

Marcin stanął osłupiały na te słowa, a potém zabierał się wściekłym wybuchnąć gniewem, ale stary Maciéj, nie pozwalając mu przyjść do słowa, krzyknął mu nad uchem:

— Ani mi się waż, robić mi tu więcéj hałasu! I wskazując ręką na drzwi, dodał z pogardą; ruszaj sobie!

Marcin wyszedł jak niepyszny, rozważając w sercu, coby miał począć z sobą. Głód dokuczał mu okrutnie, ale nie było na to żadnéj rady, bo nikt nie byłby się ważył podać mu kawałka chleba bez pozwolenia Macieja.

Zły sam na siebie i bijąc się z myślami, położył się znowu w sadzie, ale nie mógł zasnąć wcale. Musiał go jednak Pan Bóg natchnąć dobrą myślą, bo kiedy minęło południe, zabrał się i wyjechał w pole. Stary Maciéj patrzał za nim z daleka i widział, że przez cały czas ani na chwilę nie odpoczywał. Zacierał więc ręce z radości, a w domu kazał mu przyrządzić dobrą wieczerzę.

Marcin wrócił wieczorem z pola, głodny straszliwie. To téż wieczerza smakowała mu

doskonale, nazajutrz rychło wstał i wyruszył w pole, aby uniknąć głodu na obiad. Z daleka od czasu do czasu widywał przypatrującego mu się Macieja, więc pracował ciągle gorliwie i nie odpoczywał wcale. Po kilku atoli dniach uczciwéj pracy, orał wprawdzie znowu pilnie, ale mu jednak jakoś tą razą z trudnością robota przychodziła, bo stare lenistwo poczęło się w nim mimowoli odzywać, i sen począł go morzyć. Obejrzał się tedy kilka razy, a nie zobaczywszy Macieja, pomyślał sobie:

— Żeby się to tak choć chwilkę przespać, toby tam tego stary nie zmiarkował, a człek się i tak cały dzień dosyć narobi.

To rzekłszy położył się w cieniu poblizkiego drzewa i po chwili zasypiał już smacznie. Ale na jego nieszczęście wyszedł stary Maciéj w pole i spostrzegł konie samotnie stojące. Wnet domyślił się reszty, bo po chwili ujrzał Marcina spoczywającego pod drzewem. Nic nie mówiąc, wziął się więc do pługa i począł, jak mógł orać, chociażci mu to przy starych latach bardzo ciężko przychodziło.

Tymczasem zasypiał Marcin spokojnie, aż nagle zbudził się ze snu i ujrzał orzącego Macieja. Na ten widok ogarnął go wstyd i upokorzony zbliżył się do teścia. Stary Maciéj był cały potém zalany. Krew uderzyła mu do gło-

wy, twarz cała była w ogniu, a wszystkie żyły wystąpiły mu wysoko na czoło.

— Idź sobie śpij jeszcze Marcinie, rzekł mu z żalem, ja stary będę tu za ciebie pracował, choć przyjdzie upaść przy robocie, bom nie nawykł od młodości do lenistwa.

— Ojcze, mówił Marcin ze łzami, całując rękę teściowi, darujcie mi jeszcze tą razą, a przysięgam wam przed Bogiem, że już odtąd zawsze pracować pilnie będę. Pilnujcie mnie jeszcze, abym nie upadł powtórnie, ale ja będę prosił Boga, aby mi użyczył łaski swéj świętéj do wytrwania w tém przedsięwzięciu.

Słowa te jego szły z serca i widać po nim było, że mówił szczerze, dla tego téż Maciéj uściskał go serdecznie, i uspokojony poszedł do domu. I nie zawiódł się tą razą, bo Marcin stał się odtąd wcale innym człowiekiem. Praca już go odtąd nie nużyła, bo brał się do niéj ochoczo, a ma ona tę własność, że im jéj się kto więcéj poświęca i im się więcéj nią kto zajmuje, tém bardziéj go wiąże do siebie.

W kilka tygodni potém nadeszła uroczystość świętego Marcina, a w chacie Siermięgi obchodzono wesoło imieniny męża Hanusi. Janek z żoną i ojcem był tamdotąd także zaproszony.

Hanusia upiekła gęś na tę uroczystość, wedle dawnego zwyczaju, a wszyscy, smacznie zajadając, nachwalić jéj się nie mogli. Wesołość malowała się na wszystkich twarzach, podsycana żartami garbatego Frąsia, który się tam także znalazł; a nadto przyczyniał się stary polski miodek do podtrzymywania i podsycania wesołości. Wszyscy życzyli Marcinowi przy imieninach zdrowia i błogosławieństwa Bożego, a cieszyli się w duszy z jego poprawy.

— Widzisz mój Marcinie, mówił stary Maciéj, że chociaż człowiek ciężko pracuje, może być jednak szczęśliwym i wesołym.

— Niech wam to ojcze! Bóg zapłaci tysiąc razy, żeście mnie nauczyli być pracowitym i oduczyli lenistwa, mówił Marcin, całując ręce Maciejowi.

— A wiesz ty, za czyją ja to wtenczas szedłem radą i kto mi to tak dobrze doradził?

Marcin wejrzał pytającym wzrokiem, a Maciéj wskazał ręką na Janka.

— Bóg zapłać! i tobie Janku, rzekł Marcin i uściskał go serdecznie.

Poprawa Marcina udała się więc doskonale i nikt mu odtąd tego zarzucić nie mógł, aby miał czas napróżno marnować. Ale jest przysłowie: „dobra żona, męża korona," a na nieszczęście Hanusia nie była taką koroną.

Jak dawniéj lubiła się stroić nad drugie,

tak wkrótce po zamężciu, poczęła zaniedbywać swój ubiór zupełnie, a co gorsza nie troszczyła się wcale o porządek w koło domu i w gospodarstwie swojém. To też było jedyném, co zatruwało zupełne szczęście Macieja, ale, ile razy się rozgniewał, spieszył zawsze do Siermięgów, aby się nacieszyć widokiem chędogiéj, a skrzętnéj Małgosi.

Bo téż Małgosia była znana na całą wieś, jako najlepsza gospodyni i najpoczciwsza żona, a stare matki za wzór ją pokazywały córkom swoim. Janek był téż z nią szczęśliwy, a Pan Bóg pobłogosławił ich związkowi trojgiem dzieci. Najstarszy syn ich, któremu dali na imie Franciszek, od ojca chrzestnego, garbatego Frąsia, żyje dotychczas. Syn tegoż Franciszka najstarszy, imie niem Wincenty, był w ostatniém powstaniu i poległ w bitwie pod Nową Wsią, gdzie to nasi przepędzili Moskali za pruską granicę.

Dwaj starzy przyjaciele, Walenty i Maciéj, umarli prawie równocześnie na rękach dzieci, bo Walenty wyprzedził tylko o dwa miesiące kochanego Macieja. Janek pochował go obok matki, a obok niego wykopano téż grób Maciejowi.

Garbaty Frącek umarł w dwa lata potém, wskutek przeziębienia. Przed śmiercią żądał jeszcze, aby mu przyniesiono jego chrzestnego syna i dopiero, popieściwszy się z nim trochę, od-

dał Bogu ducha. Janek sprawił kochanemu swemu przyjacielowi piękny pogrzeb i płakał po nim długo, jak po bracie.

O Szpeku znikła wieść zupełnie i byliby może zapomnieli ludzie o nim, ale w trzy lata po owym ślubie Hanusi, znaleziono go pewnego rana, wśród ciężkiej zimy, skostniałego pod drzewem wisielca, na którym skonał syn jego Karól. Łachmany okrywały skrzepłe jego ciało, — skostniałemi rękoma objął grób syna i przytulił do niego głowę.

Wszelki ratunek był daremny, Siermięga zajął się gorliwie jego pogrzebem i dotąd wskazują miejsce, gdzie go pochowano. Tak to Pan Bóg za cudzą karze krzywdę!

KONIEC.

Omyłki druku.

Strona	27	wiersz	9 od góry:	szternaście...	czytaj	czternaście.
„	30	„	4 od dołu:	przeważając...	„	przerażając.
„	43	„	7 od góry:	dostojniejszych	„	dostatniejszych.
„	50	„	9 od góry:	za plecy.......	„	na plecy.
„	50	„	17 od góry:	do ramiona ...	„	do ramion.
„	62	„	8 od dołu:	królowi.........	„	Karólowi.
„	68	„	10 od dołu:	można..........	„	możesz.
„	71	„	11 od dołu:	że należało...	„	że nie należało.
„	73	„	7 od góry:	wzdrapywać..	„	wdrapywać.
„	75	„	11 od dołu:	że jego........	„	że go.
„	88	„	3 od góry:	husar..........	„	huzar.
„	93	„	14 od góry:	przekleństwo	„	przekleństwa.
„	97	„	13 od góry:	śpiega.........	„	szpiega.
„	112	„	2 od dołu:	języka.........	„	księżyca.
„	112	„	1 od dołu:	dachów........	„	duchów.
„	134	„	7 od góry:	dotąd.........	„	dokąd.
„	157	„	7 od dołu:	wstał..........	„	wołał.